# AS



**Nr. 50** 11 XII 1938

**CENA 40 GROSZY**

***NA DESKACH PO UŚMIECH NADCHODZĄCEJ ZIMY...***

*Fot. Imre von Santho.*

NA STRONIE 11-TEJ

# MÊLE ÊLE

Pieniądze jednak leżą na ulicy! Dowiódł tego po raz niewiadomo który niejaki Mr. J. Ferguson. Miljonerzy amerykańscy (i inni) chcą mieć w domu spokój — nie chcą być nagabywani przez różnych sprzedawców, wynalazców etc. W tym celu w książkach adresowych ani telefonicznych nie ma ich adresów. Pan Forguson wziął się do pracy i po 2 latach nader żmudnych poszukiwań wydał kompletną adresową książkę ludzi o dochodach powyżej dol. 200.000 rocznie. Egzemplarz kosztuje „tylko“ dol. 100.— i sprzedawany był jak najbardziej dyskretnie. Książka ta stała się „gwoździem“ rynku księgarskiego i była wprost rozchwytywaną! Tak to skończył się spokój miljonerów, a zaczął dobrobyt pana Fergusona.

Europa traci czas na drobiazgi, leży sobie we włosach z powodów o których mówić nie warto, a tu białej rasie zabierają największą część świata — Azję. Nie jest to coś. czego pomysł dopiero teraz wpadł Japonji do energicznej głowy! Oto przypomina mi się historyjka z czasów wojny japońsko-rosyjskiej. Korespondent Timesa pewnego wieczoru spotkał się z jakimś oficerem angielskim na kolacji (rzecz się działa w okolicy Portu Artura) i podczas popijania dobrego winka oficerowi japońskiemu (rzecz niebywała) rozwiązał się język i powiedział m. i.: ...nie spoczniemy, aż nad Hongkong nie zawiśnie sztandar japoński“. Proroctwo z r. 1905 realizuje się w r. 1938.

Gdy mowa o Japonji to przypominają się ich straszliwe trzęsienia ziemi. Na to chyba niema rady!? A właśnie że nie, i na to technika znalazła sposób. To znaczy sposób na zmniejszenie skutków tych elementarnych klęsk, sposób na nieburzenie się domów. — Architekci wzięli się do rzeczy i logicznem rozumowaniem doszli do konstrukcji, która wytrzymują trzęsienia. Wiemy przecież z fotografji choćby, że np. drapacze nieba wytrzymały bardzo dobrze trzęsienia w Japonji. Trzęsienie ziemi to poziomo działające uderzenia. To też konstrukcja domu musi być wytrzymała na boczne siły. Z tego rozumowania wychodząc, buduje się domy z żelbetu, wzmocnionego silnemi żelaznemi ramami. Nasypy kolejowe muszą być jak najbardziej płaskie. Dziwne, że tunele doskonale wytrzymują trzęsienia. Również odpowiednio przemyślane drewniane domy opierają się dobrze wstrząsom. Natomiast stare domki japońskie są możliwie najbardziej fałszywie budowane, bo mają ciężki dach na słabych ścianach! Specjalną uwagę trzeba skierować na kładzenie rur gazowych. Wiemy przecież, jakie straszne pożary powstawały z powodu pękania rur. Z architektem musi pracować geolog i powiedzieć mu, jaki grunt należy wybrać, jak silne uderzenia mogą w danem miejscu wystąpić. Np. w Japonji przepisują odporność dla domów na uderzenia, występujące z szybkością prawie 4 metrów na sekundę.

Edgar Wallace to autor, który wydał najbardziej czytywane powieści, ale mimo to umarł z jakiemiś czterema miljonami długów. Jednak dzieciom swym, Bryan, Michael i Patricia poradził na łożu śmierci, by nie zrzekali się tego — na pozór — bezwartościowego spadku. Dzieci miały rozum, i usłuchały ojca. Założyły firmę „Edgar Wallace Ltd“, która zaczęła sprzedawać dzieła Wallace'a z znakomitym skutkiem, bo po paręset tysięcy egzemplarzy rocznie. Dochód? A no kilkaset tysięcy rocznie! Odważni spadkobiercy już rozporządzają parumiljonowym majątkiem.

Dziwne tragedje zdarzają się w życiu! Oto niedawno zgłosiła się do kapitana okrętu, odpływającego z Południowej Ameryki, starsza pani, przedstawiła się i zażądała biletu do Europy. Na dźwięk jej nazwiska kapitan szeroko otworzył oczy. Było to nazwisko kobiety, która przed 50 laty zniknęła w puszczach południowej Ameryki wśród dzikich plemion i dotąd nie pokazywała się wśród białych. Mało tego, na wieść o okazaniu się jej na świecie, zgłosił się do niej jeden duży bank i.... ale teraz opowiem od początku. Pani ta jeszcze jako młodziutka, śliczna osóbka zakochała się w jednym młodym człowieku. Mieli się pobrać, ale pech chciał, że narzeczona podsłuchała przypadkowo telefoniczną rozmowę narzeczonego z jakąś kobietą i z niej wywnioskowała, że on się kocha w innej. Nic nikomu nie mówiąc, wyszła z domu i znikła bez śladu. Młody człowiek przejął się tem okropnie i w rozpaczy strzelił sobie w łeb. W pozostawionym liście napisał, że bez najukochańszej żyć nie może, a cały majątek zapisał na jej nazwisko, deponując go w banku. Czyż można wyobrazić sobie większą tragedję, jak to, co musiało się dziać w sercu staruszki, gdy się dowiedziała, że niepotrzebnie zmarnowała życie swoje i jego. Oczywiście zrezygnowała z podróży naokoło świata i wróciła do swych puszcz. I po raz niewiadomo który słowo „zapóźno“ nabrało tragicznego znaczenia.

Nie wiem jak nazwać najlepiej bieżący wiek, chyba wiekiem chemji. Aktualnem więc będzie przypomnieć tego sławnego w kraju i zagranicą chemika polskiego, Jędrzeja Śniadeckiego, ur. w 1768 roku, a zmarłego 100 lat temu w 1838 roku. Niezmierne on położył zasługi około rozwoju chemji w Polsce. Przedewszystkiem uporządkował polskie słownictwo chemiczne. On też najprawdopodobniej odkrył, a nie Ossan, pierwiastek ruten. Analizując surową platynę otrzymał obok znanych platynowców, jak platyna, osm, iryd etc., jako resztę ciało, które nazwał westem. A że właściwości westu odpowiadają charakterystykom rutenu, stąd uzasadnione przypuszczenie, że właśnie Śniadecki jest odkrywcą tego metalu. Dyskusja na ten temat właśnie się toczy. Śniadecki był również autorem pierwszej polskiej książki chemicznej: „Początki Chemji“.

I jeszcze jedna rocznica: 300-lecie urodzin Ludwika XIV, słusznie Królem-Słońce zwanego. Od dawna toczy się dyskusja na temat, kto był jego ojcem. Różni różnie twierdzą, a jako wspólny powód wątpliwości podaje się, między innemi, to, że Ludwik XIV za bardzo odbiegał swojem usposobieniem i charakterem od tego, który był oficjalnie jego ojcem. Fakty na podstawie współczesnych zapisków przedstawiały się tak: w wieku 14 lat Ludwik XIII w 1615 r. ożenił się z Anną Austrjaczką. Pożycie małżeńskie nie było szczęśliwe, bo króla nie można było nakłonić do spełnienia swej roli małżonka. Nic nie pomagało i stan ten trwał aż do 1625 r., kiedy nastąpiło ostateczne zerwanie z Anną, gdyż król posądził ją o chęć zamordowania go, by mogła wyjść za jego brata. W 1637 roku, a więc po 12 latach bezspornej separacji ogłoszono, że Francja może spodziewać się następcy tronu. Wtedy znów Ludwik XIII był, prócz wszystkiego, w bardzo złym stanie zdrowia. No i fakt ten, że królowa jest w odmiennym stanie, wywołał w cały kraju bardzo dwuznaczne komentarze. Jednem słowem sprawa ojcostwa jest w uzasadniony sposób wątpliwą! A jeżeli nie Ludwik XIII był ojcem Ludwika XIV, to kto? Richelieu? Nie, bo Anna nienawidziła go, był on wtedy bardzo chory i miał już 52 lat. Mazarin? Nie, bo od 2 lat był w Rzymie. Hrabia de Comminges? Niee, bo nie dopuszczano go do królowej. Jedno jeszcze nazwisko wymieniają przy tej okazji i ma ono największej szans. Oto hrabia de Rantzau, dzielny żołnierz, mężczyzna przystojny i późniejszy marszałek Francji. Za nim przemawia dużo: miał wówczas 24 lat i już był znany, pozatem przydzielony został do gwardji królowej. No i współczesna literatura na niego wskazuje. W dziele francuskiem z 1650 r. stanowczo twierdzi autor Davesne, że Ludwik XIII nie mógł być ojcem. Tycho Hofman w książce z 1660 r., wyrukowanej w Kopenhadze, pełnem nazwiskiem podaje de Rantzau'a jako ojca króla.

Co jest prawdą? Jak zwykle trudno to ustalić, ale trzeba przyznać, że hipoteza ta ma tyle prawdopodobieństwa, że wspomniałem o niej choćby „à titre de curiosité“.

Prasa stoi także reklamą: same wpływy bowiem z abonamentów nigdyby nie wystarczyły na opędzenie wydatków pisma. Przypominam sobie, jak przed wojną wychodziła zamąż córka właściciela „Nowoje wremia“ (nowe czasy) to dostała w posagu nekrologi, tj. wpływy z tego działu i bardzo dużo osób jej zazdrościło tak wspaniałych dochodów!

Amerykanie biją wszelkie rekordy w reklamie. Jako przykład podam, że całostronicowe fotografje ogłoszeniowe firm amerykańskich są dość kosztowne, bo cena ich, pominąwszy samo miejsce w gazecie lub magazynie — wynosi za biało-czarne od 300 dol., za kolorowe ca 800 dol. Wykonywaniem takich fotografij zajmują się specjalne biura. Właśnie czytałem przykład, jak się robi takie ogłoszenia: Oto ,w danym wypadku wytwórnia whisky, zamawia fotografję, przedstawiającą 6 panów na koniach w autentycznych strojach szkockich i na tle również szkockiego krajobrazu. Koszt? Drobnostka dol. 2500. A dlaczego? Bardzo proste, bo koszta związane z takim zdjęciem były bardzo poważne. Oto aż kilku specjalistów biura reklamowego wziąć się musiało do opracowania tego tematu. Jeden pojechał szukać odpowiedniego pejzażu z zamkiem, drugi poszedł na studja do bibljotek za kostjumami, inny szukał najpiękniejszych konie. Gdy już wszystko było wyszukane, trzeba było uszyć kostjumy, zwołać odpowiednich gentlemanów z twarzami ziemian szkockich i wszyscy wreszcie wyjechali na miejsce wyszukanego krajobrazu. Tam nauczyciel konnej jazdy upozował całą grupę dzielnych jeźdźców i na drugi dzień cudowne zdjęcie, jaknajbardziej autentycznee, było w rękach fabrykanta.

**Jerzy Dołęga Lewandowski.**

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

# AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

**Numer 50** **Niedziela, 11 grudnia 1938** **Rok IV**

## ASY NUMERU 50-GO:






**W ub. poniedziałek odbył się w warszawskiej Filharmonji recital śpiewaczy słynnej gwiazdy filmowej i primadonny „Metropolitan Opera House" w Nowym Jorku, Grace Moore, która odniosła na tym wieczorze jeszcze jeden, wielki sukces artystyczny. Na zdjęciu artystka wypisała własnoręcznie dedykację dla Magazynu „As"!**

# „Takarazuka"

# w masce i bez maski



Tancerki japońskie robią wrażenie filigranowych zabawek.

W typowym teatrze japońskim przebiega między lożami widzów wysoki pomost, łączący świat zewnętrzny, przez widownię ze sceną. Nazywa się ten pomost symbolicznie „drogą kwiatów". Osoby dramatu, znajdujące się na scenie „u siebie, w domu" wychodzą zza kulis; każdy obcy przychodzień dostaje się na scenę przez tę właśnie „drogę kwiatów", przechodząc między publicznością.

Koncepcja nawiązywania bezpośredniego kontaktu z widzem, znana nam z prób inscenizacyjnych amerykańskich i rosyjskich (reż. Mayerhold) przywędrowała do nas, jak z tego wynika z Dalekiego Wschodu, gdzie na jej podłożu teatr zdołał wytworzyć zupełnie swoistą, pełną uroku atmosferę.

Teatr Wielki w Warszawie nie zbudował wprawdzie japońskim gościom tradycyjnej „drogi kwiatów" — zamknął ich na deskach sceny w konwencjonalnej ramie kotar i kurtyny, a mimo to widowisko Takarazuka nie uległo zbanalizowaniu. Miałem sposobność obejrzeć je tak z „tej", jak i z „tamtej" strony — tak z widowni, jak i z za kulis. Obydwa oblicza przedstawienia były naprawdę czarujące.

Drobniutkie postacie japońskich artystek, przybrane w cudownie wzorzyste kimona, spłynęły na scenę niby wielki rój barwnych motyli, niosąc z sobą tyle prawdziwej egzotyki, tyle wdzięku i prostoty szczerej sztuki, że publiczność opuszczała teatr po przedstawieniu jak urzeczona.

Widzowie wypełnili całą salę dosłownie „po brzegi", tłocząc się w przejściach i, tworząc w nich istne „drogi głów" od tylnych wejść aż po orkiestrę. Ale to też naprawdę było co oglądać!

Obrazy zmieniają się z nieprawdopodobną szybkością. Zanim scena dobiegnie końca — pierwsze aktorki wymykają się już za kulisy. Nie wszystkie broń Boże! — publiczność musi się bawić!

Scena jeszcze żyje ostatnim akordem zamierającego tańca a tam — za kulisami, te, co pierwsze zeszły ze sceny już gotowują się do następnego numeru. — To się nazywa organizacja! — Na Japończykach widać wielowiekową tradycję techniki scenicznej. Wszystkie prawie wynalazki konstrukcyjne, jak scena obrotowa i t. d., które pajawiły się u nas w ostatniem stuleciu, znane były przecież doskonale od wieków Japończykom.

Teatr japoński wygląda z za kulis, jak dziwaczne obozowisko. Dwa namioty, a właściwie nietyle namioty, ile płócienne „kojce" stanowią garderoby artystek.

Stosy pak na rekwizyty, przedziwne, egzotyczne instrumenty muzyczne, kostjumy, peruki nagromadzono w takich ilościach, że, choć to wszystko poukładane w porządku i systematycznie, choć każdy przedmiot leży na właściwem miejscu — całość robi wrażenie niesłychanie skomplikowanej machiny. Wśród tego pozornego galimatiasu uwijają się drobni, szczupli, żółci ludzie z personelu technicznego Takarazuka. — Ruch, ale nie gorączkowy, nerwowy, lecz jakiś skoordynowany, opanowany i zdyscyplinowany. Nikt nie biega niepotrzebnie — rozmawia



Powyżej: Tańce z maskami stanowią „clou" przedstawień japońskiego zespołu. P. Kumeno Kuyoko przed tańcem z maską.



Akompanjament produkcyj artystycznych „Takarazuki" stanowi gra na szamizenie.





A może to podpis tylko?... — nie wiadomo. Zresztą — mniejsza o to — autorka jest urocza.

Pod wysoko zawieszonym reflektorem zasiadł charakteryzator. Przed nim klęczy, siedząc na piętach mała aktoreczka. Kilka wprawnych ruchów pędzla i oto urocza twarzyczka niknie pod maską potwornego demona. Na to wszystko nakłada się łakową maseczkę. Demon ukaże się bohaterowi w postaci pięknej kobiety, ale musi mieć możność pokazania także w odpowiedniej chwili właściwego oblicza. Pod piękną maską kryje się groźna prawda.

Opodal artystka, przygotowująca się do roli bohaterskiego samuraja, mającego we fragmencie dramatu „Kabuki" stoczyć walkę z demonem w symbolicznym tańcu — czeka na swoją kolej. W teatrze Takarazuka, wbrew japońskiej tradycji, wszystkie, nawet męskie role, grają kobiety.

Tymczasem na scenie przedstawienie dobiega końca. Wśród licznych nowoczesnych tańców japońskich, połączonych ze śpiewami przy muzycznym wtórze szamizeny — pokazano nam dwa fragmenty z tradycjonalnego dramatu „Kabuki", będącego japońskim odpowiednikiem europejskiego dramatu szekspirowskiego; a wszystko to jakoś tak strasznie szczerze i poprostu, bez koturnów, jakby nieuczenie, a pięknie.

Teatr japoński kładzie wielki nacisk na plastyczną stronę widowiska — taniec i kostjum; wskutek czego — mimo niezrozumie-

*Dokończenie na str. 7-mej.*

się szeptem... — Japończycy pracują bez nerwów.

My zato obserwujemy i notujemy... tylko nerwami! Spieszymy się, by zapamiętać wszystko, wchłonąć jak największą ilość wrażeń. Towarzysz zakulisowej eskapady J. Szancer szkicuje pospiesznie coraz to zmieniające się modele; — łamie w palcach węgiel i kredki, gdy model w połowie rysunku, odwraca się i niknie na scenie.

Niektóre z milutkich artystek, chcąc ułatwić nam pracę, godzą się nawet na pięciominutowe pozowanie. Na dłuższe posiedzenie nie ma czasu! Pani Kumono Kayoko, która znalazła aż tyle czasu, że w kostjumie z obrazu „Jesień" pozowała do dwu szkiców — obdarowana jednym z nich — uśmiecha się czarująco i pospiesznie kreśli na drugim z nich kilka znaków dedykacji.

**Powyżej od lewej: Charakterystyczne pozy japońskich tancerek.**

**RYSUNKI J. M. SZANCER**

**Na prawo: Czołowa artystka japońskiego zespołu Maki Fuji.**





**Szczera przyjaźń zapanowała na raucie w ambasadzie japońskiej między japońskiemi tancerkami a polskiemi ich koleżankami — Lodą i Eną Halama (w środku).**

# KĄCIK FILATELISTYCZNY




**Powyżej w pierwszym rzędzie: Serja znaczków łotewskich, wydana z okazji 20-lecia niepodległości Łotwy. — W drugim rzędzie znaczki Wolnego Miasta Gdańska.**

Nie jest bardzo zrozumiałem, że pamięć Marji Skłodowskiej uczczono najpierw zagranicą i to w ten sposób, że nazwisko panieńskie naszej największej uczonej zostało zupełnie pominięte. Wprawdzie jeszcze przed kilku laty Turcja wydała serję znaczków z portretami najsłynniejszych kobiet ze świata nauki, sztuki i literatury, i między innemi znalazła się oczywiście i nasza laureatka Nobla, ale znaczek ten jest tak rzadki, że znikoma ilość filatelistów posiada go w swych zbiorach. Teraz jednak w 40-tą rocznicę odkrycia najdziwniejszego pierwiastka — t. j. radu — Francja i wszystkie kolonje uczciły pamięć uczonych. Nawet księstwo Monaco, gdzie prawdopodobnie odbył się ostatnio kongres „Union Internationale contre le cancer" (Związek Międzynarodowy walki z rakie), emitowano z tej okazji dwa znaczki, z których jeden za 65+25 c. przedstawia małżeństwo Curie. Na drugim egzemplarzu widzimy jakiś budynek (szpital?), i drzewa palmowe.

Już nie ukaże się więcej żadna dobroczynna serja Austrji, a małą rekompensatą za to, dla filatelistów cieszących się każdą z nich, jako nowem arcydziełem grafiki, ma być niemiecka serja na „Pomoc Zimową". Obejmuje ona jak zwykle 9 wartości, przyczem wartość nominalna i dopłaty są te same, co w ostatnich latach i tylko format został nieco powiększony (28×33 mm). Bardzo ładnem upiększeniem każdej sztuki są rysunki kwiatów, rosnących w Alpach. Każdy znaczek z osobna prezentuje się ślicznie, ale całość robi mniej „zdecydowane" wrażenie, aniżeli poprzednie wydania. Oczywiście, że nie można jej nawet porównać czy to z tzw. serją wodzów czy kompozytorów. Barwy są te same, co zwykle: a więc 3 f. brązowa, 4 f. niebiesko-szara, 5 f. jasno-zielona, 6 f. ciemno-zielona, 8 f. czerwona, 12 f. karminowa, 15 f. fiol.-brązowa, 25 f. niebieska, 40 f. fioletowa. Cena w handlu wynosi obecnie około 2.70 zł. za serję i możemy jednak poradzić każdemu, ażeby ją kupił zawczasu. Wprawdzie serje te przez pierwszych3—5 lat po emisji nie zwyżkują, potem jednak już dostać ich nie sposób.




**Powyżej w pierwszym rzędzie: Dwa znaczki księstwa Monaco, wydane na 40-lecie odkrycia radu, oraz znaczek grecki z postacią króla Jerzego II. W drugim rzędzie: Nowy znaczek holenderski (w środku), po bokach znaczki duńskie, wydane z okazji 100-lecia śmierci wielkiego rzeźbiarza Thorwaldsena.**

Za przykładem zeszłorocznej serji z okrętami, wydanej w Niemczech, poszło teraz Wolne Miasto Gdańsk, ale tutaj statki te oddane są w stylu naprawdę pierwszorzędnym. Wprawdzie na żadnej fotografji nie zobaczymy morza i nieba w czarnym odcieniu, a statku białego jak mleko, lecz właśnie oko artysty może i powinno nawet widzieć nieco inaczej, niż soczewka, byle tylko uzyskać zamierzony efekt. A że w tym wypadku właśnie nie zachodzi rażąca przesada, możemy serję tę zaliczyć do najładniejszych przy druku heliograwurą. Barwy: 5+5 f. c. zielona, 10+5 f. brązowa, 15+10 f. zgniło-zielona, 25+10 f. granatowa, 40+15 f. czerwono-brązowa. — Format 35×26 mm.

Kilka dni później od Polski obchodziła swój jubileusz 20-lecia niepodległości Republika łotewska. Musimy przyznać bezwzględnie wyższość naszej serji historycznej, bo krajobrazy zwłaszcza na 3 i 5 s. są niepozorne i smutne, wodospady na 35 s. nie są wcale podobne np. do Niagary, dwu czy trzech-piętrowe budynki w Rydze (30 s.), ani też wątpliwej jakości autostrada (?) na 40 s. nie mogą zaimponować. O wiele lepiej już prezentuje się sympatyczna postać prezydenta Ullmanisa, na tle alegorycznych scen. — Barwy: 3 s. brązowo-żółta, 5 s. zielona, 10 s. j. zielona, 20 s. różowo-lila, 30 s. niebieska, 35 s. c. niebieska, 40 s. fioletowa. Formaty mały: 29×24 mm, duży 41×29 mm.

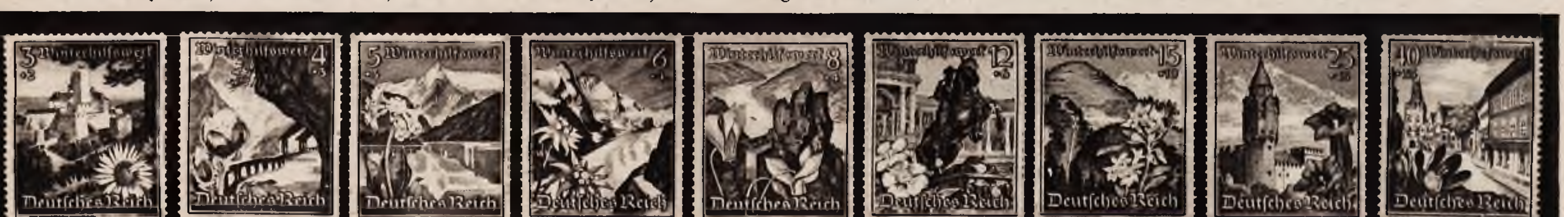
Pierwszorzędnie wykonane są znaczki Danji (staloryt), na których widzimy jednego z największych rzeźbiarzy ub. stulecia tj. Thorvaldsena. Nie powtarzamy oczywiście trzeciej wartości za 30 ö, z portretem artysty. Barwy: 5 ö karminowa, 10 ö fioletowa, 30 ö c. niebieska. Format: 24×31 mm.

Jako uzupełnienie tego, tylko europejskiego przeglądu znaczków ostatniego tygodnia, przedstawiamy całkiem różne pod względem stylu egzemplarze: holenderski lotniczy za 12.5 c., dla specjalnych lotów (w kolorze niebieskim i niższa wartość za 1.5 drachmy z królem greckim Jerzym (w kolorze zielonym). Wartość za 30 drachm jest brązowa.

Nie potrzebujemy oczywiście reprodukować trzech belgijskich znaczków przedrukowanych wobec zmiany wysokości porta (katedra w Koelkelberg) 40+5 c, 75+5 c. 2.5+2.5 fr.

Także i Francja — jak zwykle — zmieniła kolory i wydała znaczek dodatkowy (80 c. żółty i 90 c. zielony), ale to tylko fraszka, bo przecież wobec zmiany porta wszystkie sztuki całej serji przefarbują się na zimę!

**Witold Horain.**




**Nową serję znaczków niemieckich, wydaną na pomoc zimową, zdobią krajobrazy Austrji.**

*Dokończenie ze str. 5-ej.*

nia obcobrzmiącego tekstu — przedstawienie oddziaływa na europejskiego widza samym efektem wizualnym.

Nawet dekoracje, choć wykonane nieco „na eksport", choć mniej szczere niż kostjumy — nie były w stanie obniżyć poziomu widowiska.

Wspaniałe przyjęcie w ambasadzie japońskiej wydane przez ambasadora p. Sako i jego małżonkę — z okazji przyjazdu „dziewczęcej opery" — zgromadziło „la fine fleur" towarzystwa warszawskiego. Artystki wykonały liczne śpiewy chóralne i solowe oraz ciekawe tańce, które swą filigranową gracją i prawdziwym artyzmem wzbudziły szczery zachwyt obecnych.

**Wojciech Stanisław Stypuła.**

# Wiszące ogrody Londynu

Największą dumą i ozdobą Londynu to jego wspaniałe parki, ciągnące się często na kilometrowych przestrzeniach i urzekające pięknem swych trawników, gazonów, cienistych alei, a nadewszystko panującą tu iście angielską swobodą. Nie spotykamy tam żadnych nakazów i zakazów w rodzaju dobrze znanych nam „Nie deptać trawników" itp. Tu nie tylko można spacerować wzdłuż i wszerz bez żadnej obawy; nie tylko można wypocząć na specjalnie w tym celu ustawionych krzesłach i leżakach, ale można się też rozciągnąć na trawie w całej okazałości, z czego też wiele osób skwapliwie korzysta.



**Oto jeden z niezwykle oryginalnych ogrodów na dachu domu w Kensington.**

Na ławkach alei widać najczęściej zaczytane w gazetach lub szydełkujące panie. Od czasu do czasu podnoszą wzrok, by przypatrzyć się dzieciom, puszczającym latawce w powietrze. Rozbawione dzieciaki mają tu jeszcze inne uciechy: kąpią i pluskają się w stawie, emocjonują różnemi zabawami. Widać tu wysmukłe Angielki, wodzące jednego lub więcej rozkosznych piesków na smyczy. Pod wpływem tych różnorodnych i rzadkich okazów, jakich nie ujrzysz gdzieindziej — nawet przeciwnik czworonogów — gotów się tu przeobrazić we wspierającego członka opieki nad zwierzętami.

Spotyka się też zakochane pary: zakochane na sposób angielski, z rezerwą, na chłodno. Tu nie zarzuci dziewczyna w biały dzień chłopcu ni stąd ni zowąd, — powiedzmy z „wewnętrznego imperatywu" rąk na szyję i nie uściśnie go serdecznie — jak to uczyniła piękna, fertyczna brunetka w najruchliwszym punkcie placu St. Madeleine, kiedy wspinając się na paluszkach i zarzucając w tył fałdy swego czarnego cape'u, ucałowała ogniście swego przystojnego towarzysza. Byłam sama na własne oczy świadkiem tej czułej sceny tego lata w Paryżu; nie należy ona zresztą w tem mieście do rzadkości.

Każdy park londyński ma powód do specjalnej dumy. I tak dumne są Buckingham i Green Park, że okalają rezydencję królewską Buckingham Palace (Buckingham Park w odróżnieniu od Green Park nie jest oddany do użytku publiczności), St. James Park, że stanowi tło dla starego pałacu królewskiego tego samego imienia. (St. James Palace)); piękny i dostojny Kensington Park, że otacza słynny, acz skromny Kensington Palace, miejsce w którem ujrzała światło dzienne i gdzie spędziła swą młodość i pierwsze lata po ślubie królowa Wiktorja. Niemniej szczyci się ten reprezentacyjny park Londynu wspaniałym pomnikiem z marmuru „Prince Albert Memory", wystawionym przez królowę Wiktorję ku uczczeniu pamięci ukochanego małżonka, którego 30 lat po jego śmierci opłakiwać nie przestała.

Hampton Court Gardens nie tylko jest dumny z racji swych bajecznych kwietników, winnej latorośli, zasadzonej jeszcze w r. 1768 (można nabyć pojedyncze kiście

*Dokończenie na str. 12-tej.*





**Na lewo: Ogród w stylu hiszpańskim.**

**Na prawo: „Pawilon słońca" zdobi jeden z wiszących ogrodów.**

# Głos

*Autoryzowany przekład H. Hellerówny*

**LUIGI PIRANDELLO** — **N O W E L A**

Markiza Borghi na kilka dni przed śmiercią chciała dla spokoju sumienia zasięgnąć porady doktora Giunia Falci'ego w sprawie syna swego, Sylwia, który utracił wzrok mniejwięcej przed rokiem. Była z nim już u najsławniejszych okulistów włoskich i zagranicznych i wszyscy orzekli, iż młodzieniec cierpi na nieuleczalną jaskrę.

Doktór Giunio Falci został w wyniku konkursu mianowany dyrektorem kliniki okulistycznej, ale czy to z powodu swego znużonego i roztargnionego wyrazu twarzy, czy też niekorzystnych warunków zewnętrznych, nie potrafił zyskać sobie sympatji ani zaufania. Wiedział o tem i nawet zdawał się być z tego zadowolonym.

Zawezwany przez markizę Borghi badał długo i uważnie oczy chorego, nie zwracając najmniejszej uwagi — a przynajmniej pozornie — na to, co markiza mu opowiadała o chorobie syna, o zdaniach innych lekarzy i o przeprowadzanem już leczeniu. Nie sądził, ażeby to była jaskra. Przypuszczał, że szło raczej o rzadki i dziwny przypadek tego, co zwie się ogólnie kataraktą. Nie zdradzał jednak wobec tej kobiety swych wątpliwości, nie chcąc wzbudzać w niej najmniejszej nadziei. Ukrywając swe żywe zainteresowanie tym ciekawym przypadkiem, wyraził jedynie życzenie ponownego zbadania pacjenta po upływie kilku miesięcy. Wrócił istotnie, lecz dziwna rzecz! W nowej, zazwyczaj pustej alei, ujrzał przed otwartą bramą willi tłum ciekawych.

Markiza Borghi umarła nagle owej nocy. Co czynić? Jeśli nie było mu już danem pocieszyć tej matki nadzieją, to czyż nie powinien był postarać się ulżyć doli biednego chorego, dotkniętego nowem, niespodziewanem nieszczęściem?

Skierował się do willi.

Po długiem oczekiwaniu pośród panującego tam podniecenia zjawiła się młoda blondynka w czarnym stroju, nieco sztywna, a nawet surowa. Była to dama do towarzystwa zmarłej markizy. Doktór Falci wyjaśnił jej odrazu powody swych odwiedzin, które w innych okolicznościach byłyby nie na miejscu. Nagle z lekkiem zdziwieniem, w którem ujawniała się niedostatecznie ukryta nieufność, zapytała:

— Więc młody człowiek też może mieć kataraktę?

Doktór Falci spojrzał jej w oczy z ironicznym uśmiechem, bardziej widocznym w jego wzroku, niż na ustach i odparł:

— A czemużby nie? Moralnie z pewnością, gdy się zakochają. Ale fizycznie niestety także!

Przerwała rozmowę, mówiąc, że w warunkach, w jakich młody markiz obecnie się znajduje, nie można z nim o niczem mówić. ale że za jakiś czas powie mu o odwiedzinach lekarza i że zapewne markiz go zawezwie.

Minęły trzy miesiące i doktora Falci'ego nie zawezwano.

Na zmarłej markizie doktór Falci zrobił niekorzystne wrażenie podczas swej pierwszej wizyty. Panna Lidja Venturi. która pozostała przy młodym markizie jako gospodyni i lektorka, dobrze o tem pamiętała. Ale czy to wrażenie nie byłoby inne, gdyby doktór Falci od początku wzbudził w markizie nadzieję wyzdrowienia syna? Panna Lidja Venturi nie chciała sobie zadać tego pytania i uważała ze swej strony, że druga wizyta doktora miała cechy szarlatanerji. a nawet czegoś gorszego. skoro przyszedł on właśnie w dniu śmierci markizy. aby donieść o swych wątpliwościach i wzbudzić nadzieje.

Młodzieniec wydawał się odtąd zrezygnowany. Pozbawiony tak nagle matki. doznał wrażenia, iż prócz ciemności, spowodowanych ślepotą, dokuczają mu jeszcze inne, znacznie gorsze, wobec których wszyscy ludzie są bezsilni. Ale ktoś posiadający normalny wzrok może się przynajmniej rozerwać otaczającemi go rzeczami; on tego nie mógł. Był ślepym na całe życie, a matka zniknęła teraz także w ciemnościach, pozostawiając go osamotnionego wśród strasznej pustki.

Nagle doszedł do niego niesłychanie łagodny głos, stanowiący w jego podwójnych ciemnościach czarowną jasność.

Dla niego panna Lidja Venturi była jedynie głosem. Była również tą, która w tym ostatnim miesiącu bliżej niż ktokolwiek stykała się z jego matką. I — jak to doskonale pamiętał — matka chwaliła ją. Wiedział zatem, że była dobra, miła, miała dobre maniery, była kulturalna, inteligentna i tak ją też sobie wyobrażał, gdy się nim opiekowała, dodawała mu otuchy.

Lidja, zaraz w pierwszych dniach, gdy markiza Borghi ją przyjęła, zaczęła podejrzewać, że w swym matczynym egoiźmie markiza nie miałaby nic przeciwko temu, gdyby jej syn pocieszył się dzięki niej. Uraziło ją to bardzo i duma skłoniła ją do zajęcia stanowiska więcej niż surowego. Ale gdy młodzieniec po śmierci swej matki, płacząc rozpaczliwie, przytulił blady policzek do ręki Lidji, jęcząc błagalnie: „Proszę mnie nie opuszczać!... Proszę mnie nie opuszczać!...", ogarnęła ją litość i czułość i zaopiekowała się nim z całem poświęceniem.

Nie posiadała pięknych rysów twarzy, lecz była świetnie zbudowana, wytworna, smukła, a zarazem silna. Naprawdę piękne były jej ręce i głos.

Przedewszystkiem głos, niesłychanie łagodny i pełen słodyczy w przeciwieństwie do ponurego, dumnego i zasmuconego wyrazu twarzy.

Wiedziała, jak ją widział dzięki magicznemu urokowi jej głosu i nieśmiałym odpowiedziom na jego natarczywe pytania. Patrząc w lustro, usiłowała być podobną do swego urojonego wyobrażenia, starała się widzieć siebie taką, jaką on widział ją w swych ciemnościach. I nawet jej głos nie wychodził już z jej ust, lecz z ust, istniejących w jego wyobraźni.

To wszystko wywierało na nią przemożny wpływ, zdawało się jej, że przestała być sobą, że litość dla tego młodzieńca zmieniła ją zupełnie. Czy była to wyłącznie litość? Nie, teraz była to także miłość. Nie była już w stanie wysunąć dłoni z jego ręki, oderwać twarzy od jego twarzy, gdy ją przyciągał zanadto do siebie... — Nie, nie tak... nie... nie tak...

Trzeba było powziąć jakieś postanowienie, które było u Lidji wynikiem długiej i przykrej walki. Młody markiz nie posiadał ani bliskich, ani dalekich krewnych, był niezależny i mógł czynić wyłącznie to, co mu się podobało. Czyż nie powiedzianoby jednak, że wykorzystała jego nieszczęście, wyszła za niego dla zdobycia majątku i tytułu markizy? Och, napewno powiedzianoby tak i dodanoby jeszcze wiele innych rzeczy. Jakżeż mogła jednak z drugiej strony mieszkać nadal w tym domu, jeśli nie pod tym warunkiem? I czy nie byłoby okrucieństwem opuszczać tego ślepca, pozbawiać go troskliwej opieki tylko ze względu na złe języki? Niewątpliwie byłaby to dla niej wielka karjera, lecz w głębi duszy była przeświadczona, iż zasługiwała na to szczęście, ponieważ kochała markiza. I za największe szczęście poczytywała sobie właśnie możność kochania go jawnie, poświęcenia mu się ciałem i duszą. Nie widział siebie, widział tylko swe nieszczęście, lecz był piękny, och taki piękny i delikatny, jak dziewczyna. A ona, patrząc nań z radością, podczas gdy on tego nie widział: mogła myśleć: „Jesteś mój, bo się nie widzisz i nie znasz, bo duszę twą zmogło cierpienie i jestem jej potrzebna, ażeby mogła widzieć i czuć. Czy nie powinna była jednak wyznać mu wpierw, że nie jest taką, jaką on ją sobie wyobraża? Czy milczenie nie było z jej strony oszustwem? Tak, to było oszustwo, lecz on był ślepy i serce mogło mu wystarczyć, serce podobne do jego serca, gorące i oddane i złudzenie piękności. Zresztą nie była brzydka. A wreszcie kobieta naprawdę piękna mogła zdradzić go może w inny sposób, wykorzystując jego nieszczęście. Zaiste bardziej było mu potrzebne kochające serce, aniżeli piękna twarz, której i tak nie mógłby nigdy zobaczyć.

* * *

Po kilku dniach zdecydowano się na małżeństwo. Miał to być cichy ślub po ukończeniu sześciomiesięcznej żałoby po markizie Borghi.

Na tydzień przed oznaczoną już datą ślubu, oznajmiono nagle Lidji przybycie doktora Giunia Falci'ego.

— Ta wizyta jest być może tak samo jak poprzednia niepożądana — powiedział z ironicznym uśmieszkiem doktór Falci. — Ale pani wybaczy..

— Nie... dlaczego? Przeciwnie... — mówiła, czerwieniąc się Lidja.

— Nie domyśla się pani nawet — ciągnął dalej Falci — jak silne zainteresowanie mogą wzbudzać pewne choroby w takim naukowcu jak ja... Przyznam się pani jednak, że zapomniałem już o chorobie markiza Borghi, jakkolwiek jest to przypadek bardzo ciekawy i rzadki i dopiero wczoraj, rozmawiając ze znajomymi, dowiedziałem się o mającym się wkrótce odbyć ślubie... Czy to prawda, proszę pani?

Lidja zbladła i skinęła głową potakująco.

— Pozwoli pani złożyć sobie życzenia — dodał lekarz. — Przypomniałem sobie również, że kilku moich kolegów orzekło, jakoby markiz cierpiał na jaskrę. Przypomniałem sobie też moją drugą wizytę, tak niefortunną i przypuszczam, że pani, zaskoczona nagłą śmiercią markizy, a następnie zajęta przygotowaniami do radosnego wydarzenia, zapomniała...

— Nie — zaprzeczyła ostro Lidja, buntując się z powodu męki, jaką jej zadał lekarz swą zjadliwą mową. Pamiętałam doskonale o tem, że markiza po pierwszej wizycie pana straciła niemal nadzieję na wyleczenie swego syna.

— Ależ ja wcale nie mówiłem markizie — oświadczył Falci — iż mojem zdaniem choroba jej syna...

— Tak — przerwała znów Lidja. — To mnie pan powiedział. Ale ja tak samo jak markiza...

— Nie powiedziała pani jednak markizowi o moich odwiedzinach — przerwał zkolei lekarz. — Uczyniła to pani dlatego..

Doktór Falci podniósł rękę.

— Rozumiem. Gdy miłość się zrodziła... Ale przepraszam... wszak mówią, że miłość jest ślepa. Czyżby pani pragnęła, ażeby miłość markiza była ślepa aż do tego stopnia? Również fizycznie?

Lidja zrozumiała, że wobec takiej ironji i pewności tego człowieka nie wystarczy już postawa pełna dumy, jaką przybrała, ażeby ochronić swą godność przed ohydnem podejrzeniem. Starała się jednak panować nad sobą i zapytała z pozornym spokojem:

— Zatem twierdzi pan, że markiz,, lecząc się u pana, mógłby odzyskać wzrok?

— Powoli, proszę pani — odparł Falci. — Nie jestem wszechmocny jak Pan Bóg. Badałem markiza raz tylko i uważam, że należy wykluczyć jaskrę. Jeśli naprawdę kocha pani swego narzeczonego, to chociażby cień nadziei powinien wystarczyć...

— A czy należy się obawiać, iż niepotrzebnie wzbudzi pan nadzieję w zrezygnowanej duszy? — rzekła zaczepnie Lidja.

— Nie, proszę pani — odpowiedział spokojnie lekarz. — I dlatego uważałem, że moim obowiązkiem jako lekarza jest przyjść, mimo że nikt mnie o to nie prosił. Tutaj nie idzie tylko o ciekawy przypadek, ale o uspokojenie sumienia, co jest rzeczą ważniejszą.

— Pan podejrzewał... — usiłowała przerwać Lidja, lecz Falci nie chciał jej dopuścić do słowa.

— Zataiła pani przed markizem moją wizytę. Otóż proszę posłuchać: nic nie będę żądał od markiza, jeśli zgodzi się udać na moją klinikę, gdzie zupełnie bezinteresownie udzielę mu wszelkiej pomocy i opieki. Czy po tem oświadczeniu można panią prosić o dopuszczenie mnie do markiza?

Lidja zerwała się.

— Chwileczkę — powiedział doktór Falci, wstając również. — Nie powiem markizowi, że byłem tu już poprzednio. O ile pani sobie życzy, powiem mu nawet, że to pani mnie zawezwała z troskliwości o niego.

Lidja spojrzała mu dumnie w oczy.

— Powie pan prawdę... a raczej ja mu ją sama powiem.

— Powie pani, że nie ufała mi pani?

— Tak.

Falci wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Mogłoby to pani zaszkodzić, a tego nie chciałbym. Jeśli woli pani, bym się z nim rozmówił po ślubie państwa, to odłożę tę wizytę.

— Nie — odpowiedziała raczej gestem, niż słowem Lidja, podniecona, zawstydzona wspaniałomyślnością lekarza. I dała mu znak, aby poszedł za nią.

Sylwio Borghi czekał niecierpliwie w swym pokoju.

— Oto doktór Falci — powiedziała Lidja, wchodząc cała drżąca. — Wyjaśniliśmy pewne nieporozumienie. Przypominasz sobie pewnie, że doktór w czasie swej pierwszej wizyty wspomniał o tem, że przyjdzie raz jeszcze.

— Owszem, przypominam sobie doskonale, panie doktorze — odpowiedział Borghi.

— Nie wiesz jeszcze, że pan doktór przyszedł w dniu śmierci twej matki — mówiła dalej Lidja. — Rozmawiał ze mną i powiedział, że uważa, że wbrew orzeczeniom tylu lekarzy cierpisz na coś innego, niż oni sądzą i że jego zdaniem wyleczenie się nie jest niemożliwością. Nie mówiłam ci nic o tem.

— Panna Venturi — dodał spiesznie lekarz — przypuszczała, że chciałem ją tylko pocieszyć i nie przywiązywała wielkiej wagi do moich słów.

— To ja tak mówię, ale pan inaczej myśli — rzekła dumnie Lidja. — Doktór Falci podejrzewał, Sylwio, zresztą słusznie, że nie opowiedziałam ci o jego drugiej wizycie i przyszedł ci zaofiarować bezpłatne leczenie. Teraz tak jak on, możesz myśleć, że dążąc do małżeństwa, chciałam, abyś pozostał niewidomy.

— Co ty mówisz, Lidjo? — zawołał, zrywając się chory.

— Tak, tak — ciągnęła dalej z dziwnym śmiechem. — Wszak tylko pod tym warunkiem mogłam zostać twoją...

— Co ty mówisz? — powtarzał Borghi.

— Przekonasz się, Sylwio, jeśli doktorowi Falci'emu uda ci się przywrócić wzrok. A teraz zostawiam was...

— Lidjo! Lidjo! — krzyczał Borghi.

Ale ona wyszła już, trzasnąwszy drzwiami. Rzuciła się na łóżko, gryzła z wściekłością poduszkę i wybuchnęła płaczem. Ale gdy się wypłakała, przelękła się własnego sumienia.

Zdawało jej się, że to wszystko, co lekarz powiedział jej z taką ironją, mówiła sobie sama już oddawna, a raczej ktoś jej to szeptał do ucha, a ona nie chciała tego słuchać. Tak, zawsze przypominała sobie doktora Falci'ego i za każdym razem, gdy stanął jej przed oczyma, odsuwała go jak wyrzut sumienia, nazywając szarlatanem.

— Gdyż jak temu zaprzeczyć? — Chciała, żeby Sylwio pozostał niewidomy. Ślepota ukochanego była nieuniknionym warunkiem jego miłości. Gdyby odzyskał wzrok, to czemuż on, młody, piękny, bogaty arystokrata miałby się z nią żenić? Z wdzięczności? Z litości? Och, napewno nie z innych względów. Nie, nie chciała tego, nawet gdyby on chciał. Jakżeż mogła się zgodzić na to ona, która kochała go takim, jaki był, znajdowała w jego nieszczęściu przyczynę swej miłości, usprawiedliwienie wobec złośliwości innych. Czy można jednak budować własne szczęście na cudzem nieszczęściu? Doprawdy nie przypuszczała, żeby jej wróg mógł przywrócić wzrok Sylwiowi, nawet teraz nie wierzyła w to. Ale dlaczego w takim razie milczała?

Jeszcze teraz mogła wierzyć, że jej miłość byłaby w stanie wynagrodzić niewidomemu utracony wzrok i że ani bogactwa, ani żadne przyjemności, ani miłość innej kobiety nie dałaby mu tego, co ona dać mogła. Ale to było tylko jej zdanie, bo gdyby mu powiedziała: „Musisz wybrać, Sylwio, pomiędzy radością, jaką ci dać może odzyskanie wzroku, a mną“, to odpowiedziałby z pewnością: „Czemu chcesz, bym pozostał ślepy?“.

Jej szczęście było możliwe tylko wtedy, gdyby on był nieszczęśliwy.

Wstała nagle tak, jakby ją zawołano. Czy wizyta skończyła się? Co powiedział lekarz i co myślał?

Usłyszała otwieranie jakichś drzwi; drgnęła i pobiegła instynktownie w stronę korytarza, przez który musiał przejść Falci.

— Znalazłem środek przeciwko nadmiernej szczerości pani — rzekł chłodno. — Potwierdziłem moją poprzednią djagnozę. Markiz uda się jutro na klinikę. Proszę pójść do niego, czeka na panią. Dowidzenia pani.

Pozostała jak ogłuszona: patrzyła za nim, aż doszedł do drzwi w głębi korytarza, a potem usłyszała głos Sylwia, który ją wołał.

Oczekiwał ją z otwartemi ramionami; przycisnął ją do siebie mocno, mocno, moc-

*Dokończenie na str. 12-tej.*

# Konkurs
# NA STRÓJ NARCIARSKI
## UWZGLĘDNIAJĄCY POLSKIE MOTYWY GÓRALSKIE

Przypominamy, że warunki naszego nowego Konkursu, rozpisanego w związku z

**MIĘDZYNARODOWEMI ZAWODAMI NARCIARSKIEMI F. I. S. W ZAKOPANEM,**

są następujące:

**1. Przedmiotem Konkursu jest zarówno strój męski, jak i kobiecy, uwzględniający polskie motywy góralskie. 2. Modele strojów winny być nadsyłane w postaci rysunków jednobarwnych lub kolorowych. Dopuszczone będą również fotografje już wykonanych modeli. 3. W konkursie mogą brać udział wyłącznie polscy projektodawcy. 4. Jury konkursowe weźmie pod uwagę tylko te projekty, które uwzględniać będą sportowy charakter nowego stroju i przedstawią go w sposób, umożliwiający wykonanie przez krawców. 5. Termin nadsyłania rysunków, względnie fotografij upływa 18 grudnia br., w którym to dniu nastąpi zamknięcie Konkursu. 6. Projekty należy nadsyłać oznaczone godłem, a imię, nazwisko i dokładny adres w osobnej, zamkniętej kopercie, oznaczonej tem samem godłem.**

**Redakcja.**



Wiele państw, a przedewszystkiem Niemcy propagują od dłuższego czasu stroje narciarskie, oparte na wzorach ludowych (poniżej). Czas najwyższy, aby i u nas wyzyskano w tym celu bogactwo motywów ornamentacyjnych stroju góralskiego (na prawo).



W poprzednim numerze Magazynu „As" podaliśmy, że ogłoszenie wyników

**KONKURSU WAKACYJNEGO**

nastąpi już w dzisiejszym numerze. Tymczasem Jury Konkursu postanowiło odłożyć swą decyzję do

**numeru świątecznego (52-go) Magazynu „As"**

a to ze względu na konieczność skrupulatnego przeglądnięcia i oceny bardzo obfitego materjału konkursowego. W ten sposób laureaci Konkursu otrzymają cenne nagrody jako podarki świąteczne. REDAKCJA.

*Dokończenie ze str. 8-ej.*
tych soczystych winogron po 6 szyl. — 8 zł. za jedną kiść, nie ma co, za historję trzeba płacić!) nadewszystko z racji wznoszącego się tu w samem centrum parku słynnego Hampton Court Palace, miejsca niezliczonych wycieczek w niedzielne i świąteczne przedpołudnia. Nic dziwnego! Tu wszakże miał swą rezydencję król Sinobrody — Henryk VIII i jego 6 małżonek, w chronologicznej oczywiście kolejności.

Crew Gardens, olbrzymi ogród botaniczny, słusznie z racji swych niezwykłych i przebogatych okazów flory i cieplarni pretenduje do rangi przodującego w Europie — tak samo, jak Ogród zoologiczny, stanowiący część Regent's Parku szczyci się słusznie z posiadania największego zwierzyńca świata.

Sam zaś Regent's Park posiada tytuł do „specyficznej" chwały. Tu bowiem mieści się szekspirowski teatr t. zw. „Open Air Theatre". Bez żadnej dekoracji, tylko pod gołem niebem na tle feerycznej scenerji parku w oryginalnych strojach danej epoki, odbywają się przedstawienia teatralne. Piękno szekspirowskiej poezji, prawdy wiecznie młodej i aktualnej, rozbrzmiewa pod gwieździstem niebem letnich nocy.

Są jeszcze liczne inne parki, z których każdy wykazać się może jakąś charakterystyczną właściwością, choćby Park Greenwich ze swojem słynnem obserwatorjum astronomicznem. Nawet w pół dzikim stanie znajdujący się Richmond Park dumny jest ze swych jeleni. A te wszystkie Finsbury Park, Southwark Park, West Ham Park, Victoria Park, Battersea Park itd., których nazwisk mnożyć nie będę!

Ale last not least to Hyde Park. To „płuca" Londynu, synonim angielskiej wolności i słuszna przyczyna narodowej chwały. Tu, od strony Marble Arch — może każdy śmiertelnik puścić wodze swego języka. Nikt nie interwenjuje, nikt nie przeszkadza, byle tylko dopuścić do głosu i oponentów. Można tu wygłaszać speeche na wszelakie tematy, wypowiedzieć wszystko co dolega, a ofiary-słuchacze się znajdą. W szczególności nie brak ich w niedzielę, kiedy to od rana do późnego wieczora mają miejsce najrozmaitsze przemówienia. W zwykłe dnie dopiero od 5-tej popołudniu. Większe lub mniejsze grupy ludzi, skupione wokoło prelegenta, bądź to zbite w gęste masy, bądź to falujące i przypływające, zależnie od mowcy i tematu. Większe stowarzyszenia kościelne czy też partje polityczne mają swe drabinki metalowe, do których przytwierdzone są tablice z odnośnemi napisami: „Christian Church", „Methodists', „Nonconformists" „Salvation Army", „„Socialists Party", „Sionist's Party" itd.

Z niektórych grup dochodzi śpiew zbiorowy: to kobieta lub mężczyzna intonuje, a siostry i braciszkowie jednej sekty wtórują. Tu i ówdzie jacyś „street Arabs" (nasi andrusi w angielskiem wydaniu) w pobliżu poszczególnych grup okładają się wzajemnie pięściami. Nieraz uzupełniają krajobraz prawdziwe — pasące się owce. Wszystkiemu przypatrują się dobrotliwie i wyrozumiale wysoki, rosły, angielski „bob".

Speeche w Hyde Parku posiadają moc hypnotyczną, często nie tyle ze względu na temat — jak na reakcje tłumów i ciekawe „Zwischenrufy" i objekcje. Jest pewnego rodzaju ryzykiem zapytać kogoś w Hydeparku o informacje lub zagadnąć, bo w mig utworzyć się może krąg ludzi wkoło niefortunnego interlokutora, biorąc go za mówcę.

Nie będziemy się dłużej z braku miejsca zatrzymywali na Hyde Parku, na tym jedynym bezkonkurencyjnym parku świata, stanowiącym chlubę angielskiej metropolji angielskiej wolności myśli. Któż nie zna go przynajmniej ze słyszenia?

Natomiast pewną jestem, że mało kto z czytelników słyszał, a tem mniej widział (za wyjątkiem może tych, którzy byli w ostatnich miesiącach w Londynie) najnowszy ogród na.... dachu. Ogrody na dachu nie są w rzeczy samej wymysłem ostatniej doby. Posiadał je zresztą i sam Londyn, ale w minjaturowem niejako wydaniu, przyczem nie chcę wcale tem twierdzeniem wyrządzić ujmy np. bardzo ładnemu ogrodowi na dachu słynnego domu towarowego Selfridge'a.

Dopiero jednak nowo-otwarte „Dairy Garden" przenoszą olśnionego widza w zaczarowaną krainę baśni, w ósmy cud świata, wyczarowany, nieprawdopodobną techniką XX wieku. Bo proszę sobie wyobrazić: na dachu wielopiętrowego domu towarowego firmy Dairy i Tom rozciąga się największy na tej wysokości tego rodzaju ogród na świecie. Wznosi się on 95 stóp ang. ponad poziom ulicy i zajmuje przestrzeń 1¼ akrów ang. (1 akr=4 arom), a prace przygotowawcze trwały pełne 3 lata. Trzeba było bowiem wiercić studnie artezyjskie na głębokość 400 stóp w ziemi, by doprowadzić wodę do tych sadzawek, źródełek i fontan!

Solidny, potężny budynek domu towarowego na rogu ruchliwej Kensington Highstreet nie daje nam z zewnątrz przedsmaku tych niespodzianek, jakie czekają nas na dachu. Do eleganckich wystaw, puszystych dywanów, po których się tak miękko i bezszelestnie stąpa, jesteśmy już przyzwyczajeni w Londynie. Nawet pięknie urządzona kawiarnia, którą mijamy windą na 6-tem czy 7 piętrze nie potrafi nam zaimponować. Dopiero, gdy za boya przebrana odźwierna windy anonsuje na najwyższem piętrze „Dairy Garden" — nawet najbardziej zblazowany globtrotter nie przestaje wychodzić z podziwu. Przecieramy oczy: śnimy czy jesteśmy na jawie? Czem są wiszące ogrody Semiramidy wobec tych wspaniałości?! Ogrody podzielono na poszczególne partje. Jedna partja przedstawia t. zw. „Old English scene": kępki mchu, wodorosty, sadzawka, most, drzewa, krzewy, kamienne ławeczki, najautentyczniejszy ogród angielski starego' stylu. Inna partja „Tudor arches' wprowadza nas w epokę Tudorów, z jej charakterystycznymi łukami w architekturze. Przepiękne kwietniki, zaciszne altany. Wypoczywając w nich na kamiennych ławeczkach przenosimy się przynajmniej o 3 wieki wstecz. Inne aleje przenoszą nas w inne kraje, w inne czasy. Oto przepiękny ogród hiszpański, krużganki wsparte na kolumnadzie, mozaikowe „patio", fontanny. Madryt na dachu Londynu! Albo ta minjatura Wersalu czy Fontainebleau! Nawet nimfy, posążki, wazy. Gdzie podziała się Marja Antonina i zalotny korowód pasterzy i pasterek? Złudzenia, złudzenia! Czy jesteśmy naprawdę na dachu? Czy możliwe, by ta wspaniała flora, obejmująca kwiaty, drzewa, palmy, by te szemrzące strumyki, fontanny — mieściły się na dachu? A jednak tak jest, nie inaczej. Przekonywują nas o tem dachy i kominy domów, które oglądać możemy z pewnej części tarasu i cudowny widok na panoramę miasta poprzez Towers, Westminster Abbey, St. Paul's aż do Surrey Hills włącznie.

Korzymy się przed potęgą techniki i nie możemy opuścić tego bajkowego zakątka. Trzeba wiedzieć, że Dairy Garden obok niebywałych emocyj, jakiemi raczą zwiedzających — spełniają zarazem i charytatywną misję. Tani stosunkowo wstęp (1 s od osoby) idzie na fundowanie łóżek w szpitalu dla dzieci.

U wejścia do ogrodów i w poszczególnych partjach siedzą pielęgniarki, które sprzedają bilety, rozdają prospekty „London Fever Hospital'u", przyjmując datki.

„Dairy Gardens" zostały otwarte dnia 9 maja br. przez Earl'a of Athlone i oddane do użytku publicznego. Odtąd codziennie między 11—1 przedpołudniem przyjmuje zwiedzających jakiś lord lub Lady z angielskiej arystokracji, wygłaszając w pięknym pawilonie kawiarni, mieszczącej się również w ogrodach na dachu — przemówienie propagandowe dla szpitala.

Gdy zwiedzałam Dairy Garden, była właśnie kolej na przystojną młodą lady, szczupłą, jak z reguły Angielki, — o pięknych sarnich oczach. Mówiła cicho, widocznie zażenowana, w oddaleniu paru kroków trudno było cokolwiek usłyszeć. Nie przeszkodziło to jednak wcale eleganckiemu starszemu lordowi, protektorowi szpitala, który zabrał po niej głos, oświadczyć z całą galanterją, że po takim „splendid speech" (!!), jaki wygłosiła lady X. Y., nic ma już naprawdę nic do dodania.

I ja nie mam już nic do dodania, jak chyba to, że co gentlemeni — to gentlemeni...

**Fel. Stendigowa.**

---

*Dokończenie ze str. 10-tej.*
no, krzyczał, że ją kocha i że dla niej chce odzyskać wzrok, by móc patrzeć na swą ukochaną, piękną, słodką żoneczkę... Tylko dla niej!

— Płaczesz? Czemu? Ale ja przecież też płaczę, widzisz... To ten cud- Ach, co za radość!... Zobaczę cię! Zobaczę cię!...

Każde słowo było dla niej męką do tego stopnia, że mimo swej radości, zrozumiał, że łzy jej różniły się od jego łez i powiedział jej, iż nie mógłby przecie nigdy uwierzyć w to, co doktór mówił... Zresztą poco myśleć o innych rzeczach? W tym radosnym dniu należało odsunąć wszelkie smutki, myśleć jedynie o tem, że ich szczęście będzie zupełne, że wnet będzie mógł patrzeć na swą żonę. Ona będzie miała czas przygotować ich mieszkanie, prawdziwe gniazdko miłosne, pierwszą rzecz, którą on zobaczy. Tak, obiecywał, iż opuści klinikę z zawiązanemi oczyma, które miał otworzyć po raz pierwszy dopiero tutaj, w ich gniazdku...

— No, mów-że coś.... Powiedz, jak urządzisz nasze gniazdko?

— Jakto?

— Tak, dotychczas nie pytałem cię o nic. Ale nie chcę zresztą jeszcze nic wiedzieć. Ty zajmiesz się wszystkiem. Będzie to dla mnie rozkoszna niespodzianka. Ale najpierw będę widział tylko ciebie! Tylko ciebie!

Energicznie opanowała łzy i klęcząc, przytulona do niego, zaczęła mu opowiadać o swej miłości niemal do ucha, głosem jeszcze słodszym i bardziej kuszącym, niż zazwyczaj. Ale, gdy upojony, przycisnął ją do siebie i groził, że jej nie puści, odsunęła się od niego i wyprostowała się dumnie, tak, jakby odniosła nad sobą zwycięstwo. Mogła jeszcze teraz przykuć go do siebie nierozerwalnymi więzłami. Nie uczyniła jednak tego, bo kochała go.

Przez ten cały dzień, aż do późnej nocy, czarowała go swym głosem, pewna siebie, gdyż pozostawał jeszcze w ciemnościach, oddany jej w zupełności. I w tej ciemności przyświecała mu nadzieja równie piękna, jak wyobrażenie, jakie sobie o niej stworzył.

Następnego ranka odwiozła go na klinikę i rozstając się z nim, powiedziała mu, że zabierze się natychmiast do pracy, jak spiesząca się jaskółka.

Przez dwa dni czekała z straszliwym lękiem na wynik operacji. Gdy się dowiedziała, że się udała, czekała jeszcze trochę w pustym domu. Przygotowała mu wszystko i kazała powiedzieć Sylwiowi, który szalejąc z radości, domagał się, żeby chociaż na chwilkę do niego przyszła, żeby zaczekał cierpliwie jeszcze parę dni.

Zabrała swe rzeczy i odeszła w milczeniu, ażeby pozostawić mu jedynie wspomnienie.





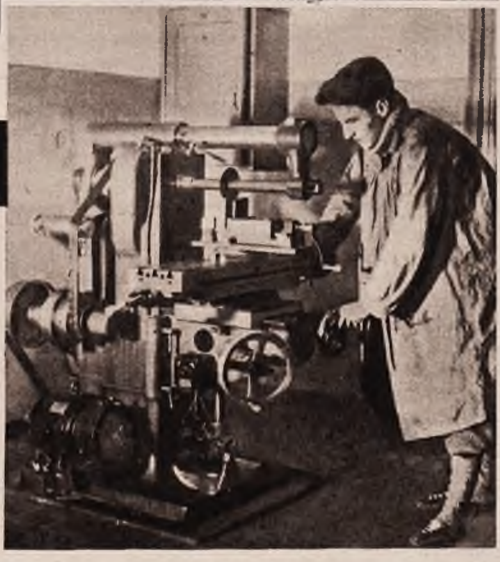
AKROBACI I ICH SZTUKA

# RYDZYNA

## SZKOŁA CHARAKTERÓW



**Pałac ks. Sułkowskich w Rydzynie mieści obecnie najbardziej postępowe i wzorowe gimnazjum dla chłopców.**



**Na prawo: Uczeń gimnazjum rydzyńskiego im. Sułkowskich pracuje w warsztacie szkolnym przy frezarce.**

Dnia 12 września br. Zakład Wychowawczy „Gimnazjum im. Sułkowskich" w Rydzynie obchodziło dziesięciolecie swej działalności. Geneza tego zakładu sięga czasów przedwojennych. Gdy w r. 1909 zmarł bezpotomnie ordynat ks. Antoni Sułkowski, rząd pruski przejął ordynację na rzecz skarbu pruskiego, gwałcąc w ten sposób wolę twórcy ordynacji, księcia Augusta Sułkowskiego, jednego z najświetniejszych przedstawicieli wieku oświecenia, który na wypadek wygaśnięcia rodziny Sułkowskich przeznaczał dobra ordynacji na wychowanie młodzieży polskiej. Dopiero traktatem wersalskim zostają Polsce zwrócone dobra rydzyńskie. Rząd Odrodzonej Polski uszanował złamaną przez rząd pruski wolę twórcy ordynacji opartą na uchwale Sejmu dawnej Rzeczypospolitej i stworzył „Fundację Sułkowskich".

Powołane przez ministra W. R. i O. P. przed kilkunastu laty pierwsze Kuratorjum Fundacji Sułkowskich uchwaliło założyć i prowadzić pod nazwą „Gimnazjum im. Sułkowskich" szkołę męską ogólnokształcącą o charakterze internatu, a na siedzibę szkoły obrano Rydzynę, dawną siedzibę ks. Sułkowskich.

Wszystkie starania Kuratorjum Fundacji i dyrektora gimnazjum, którym został b. minister i długoletni wiceminister W. R. i O. P. Tadeusz Łopuszański, szły w tym kierunku, by nowa szkoła mogła stać się wzorem dla szkół podobnego typu w Polsce. Chodziło o to, by zakład dawał swym uczniom najpomyślniejszy rozwój fizyczny, intelektualny i moralny oraz by sam stał się eksperymentalną placówką wychowawczo-naukową, na której doświadczeniach i uzyskanych wynikach mogłyby się w przyszłości oprzeć inne podobne zakłady.

Odnowiony gruntownie i przystosowany do potrzeb zakładu zamek przekazano dyrekcji gimnazjum wraz z obszarem, wynoszącym około 40 hektarów. Obejmuje on dziedziniec, ogrody, piękny stary park, łąki i laski. Posiadanie takiego dużego i pięknego terenu nadaje niewątpliwie wiele uroku życiu wychowującej się w zakładzie młodzieży, a przedewszystkiem stwarza doskonałe warunki dla jej rozwoju fizycznego.

Dla utrzymania stałego kontaktu z młodzieżą i celem dania jej rzetelnej opieki wychowawczej stworzono zakład o charakterze internatowym. Ustrój zakładu jako szkoły odpowiadał gimnazjom państwowym, przyczem w programach wprowadzono nieznaczne tylko odchylenia i zmiany. Aby sprostać wytkniętym sobie zadaniom, zakład musiał postarać się o niezmiernie staranny dobór sił nauczycielskich o doskonałych kwalifikacjach naukowych i ideowych; dopiero po wzajemnem wewnętrznem„ zestrojeniu" się i uzgodnieniu swych poglądów oraz dostosowaniu się do warunków i zadań zakładu, można było przystąpić do podjęcia zbiorowej twórczej pracy.

Ważnem zagadnieniem był odpowiedni — zarówno pod względem fizycznym, jak i intelektualnym i moralnym — dobór uczniów, rekrutujących się ze wszystkich części Polski. Bez odpowiedniej bowiem selekcji trudnoby było zrealizować podstawowe dążenie zakładu, by corocznie kończył w nim studja i wychodził w życie zastęp młodzieży prawdziwie wartościowej, stojącej na wysokim poziomie rozwoju fizycznego, intelektualnego i moralnego.

Położenie zakładu wśród łąk, pól i lasów zdala od ujemnych wpływów atmosfery miejskiej stwarza pod każdym względem bardzo korzystne warunki dla rozwoju młodzieży. Urządzenie wewnętrzne nietylko odpowiada najlepszym warunkom higjeny, lecz może stanowić przykład planowego rozwiązania zagadnień naukowo-wychowawczych. Warto chociażby wspomnieć, że cały zamek został wyposażony w froterowane posadzki, a uczniowie wchodząc i wychodząc z zakładu zmieniają obuwie, by uniknąć kurzu i brudu.

Duże i poważne znaczenie w życiu zakładu rydzyńskiego i jego systemie wychowawczym zajmują ćwiczenia cielesne. Nietylko jako warunek zdrowia i rozwoju fizycznego, lecz także jako podstawa normalnego i bujnego rozwoju psychicznego, a w szczególności jako potężny czynnik wychowania moralnego.

Jak w najlepszych college'ach angielskich czy amerykańskich sport w różnorodnej postaci posiada doskonałe warunki rozwoju. Zakład posiada wiele boisk, jedno do szczypiórniaka, dwa do hazeny, dwa do koszykówki, dwa do siatkówki, do palanta itd. Obok boisk do gier znajdują się skocznie do skoków, a przed dwoma laty rozpoczęto budowę stadjonu sportowego, gdzie można uprawiać lekko-atletykę w różnych postaciach. Ponadto wszyscy uczniowie zakładu przechodzą obowiązkowo przysposobienie wojskowe.

Jednym z najważniejszych środków wychowania nietylko fizycznego, ale i moralnego są obozy i wędrówki wakacyjne, którym patronuje dyrektor zakładu, znany i zamiłowany turysta. Obozy urządzane były w puszczy augustowskiej nad jeziorem Serwy. Obficie zaopatrzony w łodzie i kajaki, budowane zresztą w Rydzynie przez samych uczniów, dawał obóz uczniom wielkie możliwości korzystania z uroków campingu. Uczniowie robili szybko ogromne postępy w pływaniu i wiosłowaniu, wciągali się w dłuższe wycieczki wioślarskie, nabywali wiele zdrowia i hartu. Obóz kończył się zawsze kilkudniową wycieczką wioślarską po Czarnej Hańczy i łańcuchu jezior puszczy augustowskiej. Piesze wędrówki obejmowały puszczę Tucholską, Szwajcarję Kaszubską, wybrzeże morskie, Góry Świętokrzyskie, Sandomierszczyznę, różne okolice Beskidów Zachodnich, Pieniny a nawet Czarnohorę i Gorgany.

Szczególnie dużą popularnością wśród młodzieży rydzyńskiej cieszyły się wędrówki wodne. Najdłuższą była jazda wzdłuż całego biegu Wisły od Oświęcimia do Gdańska (około 1000 kilometrów), Grupa kilkunastu chłopców przejechała z jeziora Serwy kanałem Augustowskim, Biebrzą, Narwią i Wisłą do Płocka (ok. 500 km.). Inna wycieczka wiodła z jeziora Charzykowskiego pod Chojnicami, łańcuchem jezior Brdy, a następnie Brdą i Wisłą do Gdańska. Dwie grupy chłopców przejechały cały Dniestr od Halicza lub Sambora do Okopów św. Trójcy. Najulubieńszym jednak terenem wypraw były wody kresów wschodnich. Inna znów wyprawa odbyła się przez cały Niemen od Stołpców do Grodna. a następnie Czarną Hańczą do Augustowa. Dłuższą też wyprawą była wędrówka z Czartoryska na Wołyniu rzekami Styrem, Prypecią i Horyniem do Dawidgródka, stąd rzeką Lwą przez puszczę dawidgródzką znów na Horyń, poczem — po przewiezieniu łodzi statkiem do Pińska — Jasiołdą, kanałem Ogińskiego i Szczarą do Słonimia, skąd jedna z uczestniczących łodzi pojechała jeszcze dalej Szczarą przez Niemen aż do Grodna.

Podczas tych wszystkich pieszych i wodnych wędrówek chłopcy nocowali albo po stodołach, albo w namiotach, czasem nawet pod gołem niebem. Musieli znosić rozliczne niewygody, pokonywać niejedną trudność. To życie się jednak z przyrodą dawało im niezapomniane wrażenia. Wędrówki te wpajały w młodzież zamiłowanie do prostego i twardego życia, uczyły dawać sobie radę w trudnych nieraz okolicznościach, wdrażały wreszcie do karności i samopomocy. Wiązały one chłopców bardziej ze szkołą, wywierały silny wpływ na kształcenie się charakterów, łączyły wreszcie chłopców silną więzią przyjaźni i wzajemnej uczynności.

Zwracanie uwagi na wychowanie fizyczne i doskonałe warunki higjeniczne nie mogły pozostać bez widocznych dobrych rezultatów. Przeciętny wzrost i przeciętna waga uczniów zakładu rydzyńskiego były wyższe, aniżeli przeciętne uczniów tego samego wieku w innych zakładach. Sprawdzianem dzielności fizycznej wychowanków rydzyńskich, niemniej ważnym, są wyniki zawo-

rych w olbrzymiej większości wychodzili zwycięsko.

Mnogość ćwiczeń fizycznych mogłaby nasunąć obawy, że — jak to się dosyć powszechnie dzieje — sport odciągnie młodzież od pracy i życia umysłowego. Odpowiednie jednak ujęcie tego zagadnienia sprawiło, że zjawisko takie nie zaistniało w Rydzynie. Chłopcy nie zaniedbują się dla sportów w nauce, a dobrzy sportowcy są naogół także dobrymi uczniami. Lubiąc bardzo sport, traktują go jednak jako rozrywkę i nie osłabia on ich zainteresowania zagadnieniami naukowemi, estetycznemi i społecznemi. Mimo rozgrywania licznych zawodów udało się wśród chłopców rydzyńskich wytworzyć i utrzymać atmosferę rzetelności i rycerskości w stosunku do przeciwników. Stała się ona przykazaniem pilnie przestrzeganem przez samych chłopców.

Za jeden z podstawowych składników wychowania młodzieży uważa zakład w Rydzynie roboty ręczne, nie traktując ich jako mniej wartościowy dodatek do programu naukowego. Obejmują one przedewszystkiem roboty z drzewa i metalu, ponadto roboty ze szkła, a przygodnie i z innych materjałów. Prócz tego uczniowie wykonują od czasu do czasu roboty ziemne, związane z urządzaniem i utrzymaniem boisk sportowych. Rękami uczniów zostały wykonane liczne sprzęty, meble, łodzie i kajaki, oraz liczne przyrządy fizyczne i chemiczne, używane do nauki i przeprowadzania badań naukowych.

Jednem z najbardziej podstawowych dążeń zakładu są starania o rozwój indywidualnych zainteresowań uczniów. Zakład stara się odnaleść w każdym z uczniów tę dziedzinę, która go najbardziej pociąga. Zadanie jest o tyle ułatwione, że zakład posiada niewielką ilość uczniów i utrzymuje stały kontakt z nimi. Zachęcając uczniów do wykonywania prac indywidualnych, nie używa zakład żadnego przymusu. Rezultatem tej właściwej metody jest wybitna samorzutność i zapał, z jakim chłopcy garną się do pracy.

Wśród stawianych przez zakład postulatów wychowania moralnego na pierwszy plan wysunięto postulat wykorzenienia z psychiki młodzieży tkwiących w niej nieraz głęboko i silnie zastarzałych wad: lenistwa ,gnuśności i niechęci do wysiłku, zwłaszcza wytrwałego. Na każdym kroku zakład stara się wdrożyć młodzież do pracy i rozmiłowania w życiu pełnem wysiłku i walki. Drugim zasadniczym postulatem — to wytępienie w psychice uczniów wszelkiego kłamstwa, a wyrobienie w nich ukochania prawdy, by na całe życie pozostała zasadniczą cechą ich słów i czynów.

Niedługo trwa „eksperyment rydzyński", lecz już obecnie widoczne są jego rezultaty. Zakład stara się śledzić bacznie dalsze losy byłych rydzyniaków, którzy zresztą sami nie zrywają kontaktu z Zakładem po jego opuszczeniu. Jedną z form stałego kontaktu jest korespondencja, którą ogromna większość byłych uczniów utrzymuje z dyrektorem Zakładu i poszczególnymi profesorami. Widocznem ogniwem, łączącym wychowanków gimnazjum jest założony „związek byłych rydzyniaków", którego zadaniem jest podtrzymanie tej łączności i utrzymanie społeczności rydzyńskiej na wysokim poziomie moralnym i ideowym oraz rozwijanie w niej ducha ofiarnej i twórczej służby społeczno-narodowej.

Powołana do życia wolą twórcy ordynacji ks. Sułkowskich z przed blisko dwu wieków i rozporządzeniem Rządu Polskiego w Polsce Odrodzonej „Fundacja Sułkowskich" dobrze spełnia swe zadania.

Dr. M.



# »TANCERKI« PLANT KRAKOWSKICH

Gdy ktoś obcy przyjeżdża do Krakowa i przechodzi przez krąg plant, pulsujących w lecie zielenią, srebrzystych i białych w zimie — coraz to ze zdziwieniem dostrzega całe gromady dzieci i dorosłych, stojące tuż przy ogrodzeniu trawnika. Cóż się tam stało? — Podchodzi i patrzy: wiewiórka.

Albo znowu cała taka gromadka stoi pod drzewem i dzieci wzywają płaczliwie, po gałęziach uganiającą wiewiórkę:

— Basiu! Basiu! Zejdź-że wreszcie!

Obcy jest naprawdę zdziwiony — a tego zdziwienia wyraz czytaliśmy nieraz i na szpaltach zagranicznych pism. W korespondencjach z Krakowa i artykułach o podwawelskiem mieście zawsze sporą rolę grają wiewiórki, te oswojone ulubienice dzieci — błyski i uśmiechy krakowskich plant.

Teraz, gdy zima nadchodzi, wiewiórki mniej się pokazują, drzemiąc sobie długiemi swemi snami o wiośnie, która nadejdzie. Ale z tego snu nieraz budzi je głód — wyskakują wtedy nagle, jak z pod ziemi, na środek alei plant, przebiegają przez jezdnie i trotuary, dzielące poszczególne odcinki tego ogrodu w kształcie koła — i zawsze wracają dobrze nasycone do swego zimowego legowiska.

Bo dzieci krakowskie pamiętają o tych przemiłych zwierzątkach, nazwanych przez nie Basiami. Ileż to radości, gdy wiewiórka podchodzi do małej rączki, gdy przytyka wilgotny nosek, a równocześnie jedną łapkę lekko przyciska do dłoni dziecka. A gdy orzeszek jest apetyczny, porywa i odchodząc trochę na bok, jakże zgrabnie go obłuskuje i wreszcie zjada, patrząc wciąż na ofiarodawcę czy ofiarodawczynię czarnemi koraliczkami bystrych oczek.

A potem nagle jakiś szalony skok na gałąź drzewa, albo gonitwa po trawniku. Albo znowu po ławkach, po grzbietach ludzi, przez wózeczki z najmniejszemi dziećmi — by nagle znowu przystanąć i powrócić na dawne miejsce po dalszy orzeszek.

Wiewiórki krakowskie są radością młodego życia — a są także miłym refleksem na życiu siwem i zmęczonem, bo współzawodniczą z dziećmi w opiece nad małemi zwierzątkami starzy ludzie, emeryci, powolni spacerowicze z laseczką przez aleje plant. I ci także kochają Basie, a wiewiórki i od nich chętnie biorą orzeszki.

I tak się już ułożyło, że te małe tancerki plant krakowskich stały się łącznikiem pomiędzy najmłodszymi i najstarszymi i nieraz równocześnie wyciąga się do nich z orzeszkiem maleńka rączka dziecka i pomarszczona, drżąca dłoń starca...

W. Z.









Ruda, zwinna wiewiórka jest nietylko serdeczną przyjaciółką młodzieży odwiedzającej planty, ale też najbardziej uroczą mieszkanką zielonego pierścienia opasującege stary Kraków. — Fot. dr. Azet.

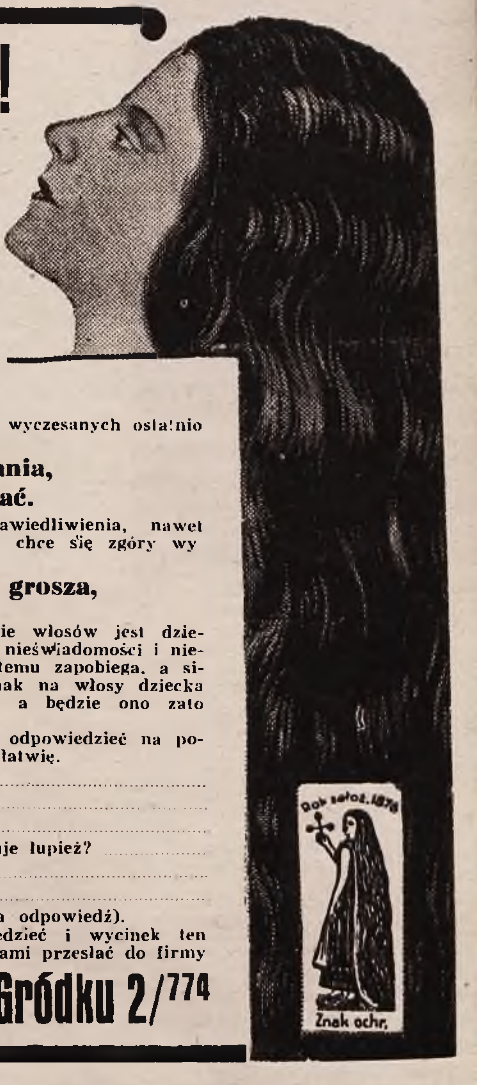
# 7 CUDÓW ŚWIATA

Gdy dawniej całe wieki składały się na stworzenie czegoś niezwykłego — wspaniałego gmachu, ogrodu czy rzeźby — dziś cuda techniki rodzą się z dnia na dzień: w trzeźwym XX wieku fabrykujemy cuda na poczekaniu, seryjnie... Nic też dziwnego, że wobec dużej „podaży" tych nieprawdopodobnych wynalazków, odkryć itd. cena ich znacznie spadła! Dla najbardziej wspaniałych zdobyczy XX w. — radja, telefonu, samolotu, promieni Roentgena, balonów stratosferycznych i tylu innych — nie odczuwamy już należnego szacunku. Przypominamy dzieci, którym powiedziano, że święty Mikołaj, to wcale nie starzec z siwą brodą, tylko poprostu ojciec czy matka, czy ktoś z rodziny, który przynosi prezenty: dziecko traci wtedy wiarę w rzeczy niezwykłe wogóle, i jest przekonane, że tak, jak tym razem, tak i w każdym innym zostało oszukane. Wprawdzie nie twierdzimy, że Marconi, Piccard czy Edison, to oszuści, ale nie emocjonujemy się tem wszystkiem tak, jakby właściwie te odkrycia na to zasługiwały. Jesteśmy zblazowani...

Jest to sytuacja bezwzględnie przykra, gdyż pokazano nam, że wiedza ludzka i przemyślność sięga ogromnie daleko, że zdoła wszystko wytłumaczyć, wszystko wyjaśnić, wszystko rozłożyć swym skalpelem na części i pokazać maszynerję świata. Cóż nam jednak wkońcu przyjdzie z tego wszystkiego, gdy nie będzie na świecie już tajemnic, gdy nic nie zdoła nas wzruszyć, gdy każde zjawisko będziemy mogli z łatwością zbadać i zrozumieć? Stracimy wtedy ten olbrzymi „rezerwuar" złudzeń, wzruszeń, jakim właśnie są niewiadome w życiu. Może będziemy przypominać bohatera powieści „Ewa przyszłości", pióra słynnego twórcy „Axela" hr. Villiersa de l'Isle Adam, który zraziwszy się do swej ukochanej i stwierdziwszy, że jest ona istotą głupią, pustą i złą, prosi swego przyjaciela „czarodzieja z Menlo Park" Tomasza Alvę Edisona, aby skonstruował mu robota, — przepraszam za użycie tego mało uroczego i trywjalnego słowa w odniesieniu do kobiety! — któryby zastąpił mu ową żywą ukochaną. Dojdzie może do tego, że najbardziej tajemne, osobiste i czułe dziedziny życia będą posługiwały się mechaniką, wynalazkami i odkryciami uczonych. Idąc tak krok za krokiem z postępem, właściwie tylko my sami, ludzie żywi, pozostaniemy wielką zagadką: reszta będzie już zbadana, sklasyfikowana i odłożona „ad acta". Miejmy jednak nadzieję, że nie nastąpi to zbyt prędko...

Siedem cudów świata... Czemże przeszłe generacje tak bardzo się zachwycały, że nadały mu nazwę „cudu"? Cuda te pochodzą z czasów starożytności, a cudowność ich polegała zarówno na technicznej, jak też artystycznej doskonałości. Postarajmy się porównać te cuda świata antycznego z cudami naszej ery, aby zobaczyć jaka dzieli nas przepaść jeżeli chodzi o faktyczne zdobycze techniki i punkt widzenia na te rzeczy. W swej kolejności siedem cudów świata zwały się: piramidy egipskie, wiszące ogrody królowej Babilonu Semiramidy, świątynia Artemidy w Efezie, rzeźba Fidjasza przedstawiająca Zeusa Olimpijskiego, mauzoleum w Halikarnassos w Małej Azji, kolos rodyjski, latarnia morska na wyspie Faros. Niewiele stosunkowo posiadamy bliższych wiadomości o tych siedmiu cudach świata: legenda, fantazja spowiła je w szatę nierealną, a ilustracje o wiele wieków późniejsze dają tylko mętne i mało wierne wyobrażenia o ich wyglądzie. Możnaby te wspaniałości techniki i sztuki odtworzyć na podstawie późniejsyzch wykopalisk, odkryć i drogą analogji: dodajmy, że ogrody Semiramidy, żony króla Ninusa powstały 2.000 lat przed narodzeniem Chrystusa, że świątynia w Efezie została spalona w r. 336 przed Chr. przez Herostrata, który zyskał sobie tem przysłowiową sławę, gdy temu samemu losowi uległo mauzoleum w Halikarnassos w r. 334. Słynny kolos rodyjski poświęcony Heliosowi zrobiony był ze spiżu, i powstał ok. 290 r. przed Chr., kosztował zaś 300 talentów, posiadał wysokość 32 metrów, a o jego wielkości pouczyć może fakt, że gdy w r. 672 zbierano szczątki posągu, przewozić je musiało aż 900 wielbłądów! Jedynie o wielkości piramid egipskich możemy się dokładnie i naocznie przekonać, gdyż w większości istnieją po dziś dzień, budząc w dalszym ciągu zachwyt ludzki. Najwyższa z tych piramid, Cheopsa, posiada wysokość 146 m, a podstawę 233 metrów w kwadracie. Oto kilka szczegółów o siedmiu cudach świata. Jakże one jednak tracą na swej tradycyjnej wielkości, gdy porównamy je z dzisiejszemi cudami techniki budowlanej, gdy zestawimy je z gigantycznemi rozmiarami nowoczesnych drapaczy chmur, przeróżnych tam obserwatorjów itd. Ów „kolos" rodyjski lub owe piramidy nikną jak ziarnko piasku wobec granitowej skały w porównaniu z choćby wieżą Eiffla, zbudowaną w r. 1900, a mającą wysokość przeszło 300 metrów (koszt






## NAJLEPSZY PODAREK GWIAZDKOWY, TO ODBIORNIK RADJOWY

Grudzień jest miesiącem podarków. Zwyczaj ten przyczyniający się do zwiększenia radości życia codziennego, pielęgnowany jest od dawna, tradycyjnie utrzymywany po dziś dzień. Gwiazdka, Nowy Rok — oto dni składania sobie nawzajem drobnych upominków, dni radości nie tylko dla dziatwy, ale i dla starszych.

Sztuka wybrania odpowiedniego prezentu nie jest rzeczą łatwą. Wszystkie zagraniczne czasopisma przepełnione są w grudniu radami, jak wybrać najlepszy prezent stosowny do wieku, zamożności, jak wybrać prezent gustowny, taki, który sprawia przyjemność nie tylko drogiej nam osobie, ale taki, któryby dobrze świadczył o smaku kupującego.

Od czasu istnienia radja jednym z najpiękniejszych prezentów jest zawsze odbiornik radjowy. Jest to prezent trwały, zapewniający przyjemność nie tylko w tym momencie, kiedy się go otrzymuje, ale pogłębiający tę przyjemność z każdym dniem i z każdym wieczorem.

Każdy kto chce wybrać dobry prezent — winien pamiętać, że najlepszym podarkiem gwiazdkowym jest odbiornik radjowy.









Powyżej od lewej: Oto najwyższe budowle, jakie kiedykolwiek stworzone zostały ręką ludzką — wieża Babel (według starego sztychu), której dokładnej wysokości nie możemy oczywiście oznaczyć, wieża Eiffla, wysokości ponad 300 m, 102-piętrowy „Empire State Building" wysokości 1265 stóp tj. przeszło 300 m i wkońcu widzimy projekt olbrzymiej wieży wysokości 2000 m, która miała zdobić wystawę paryską 1937, nie została jednak zbudowana.



Powyżej: Najdłuższy most na świecie w San Francisco, zbudowany kosztem 77 miljonów dolarów.

Na prawo: Aparat filmowy o największej soczewce na świecie, która waży 25 funtów. Obok olbrzymiej soczewki widzimy drugą mniejszą, używaną w „normalnych" aparatach filmowych.




budowy 6,500.000 fr.), ważącą dziewięć miljonów kilogramów, lub z słynnym „Empire Building" w Nowym Jorku, o 100 piętrach i 300 metrach wysokości! Zresztą musielibyśmy wyliczyć tutaj kilkaset „cudów" większego i mniejszego kalibru, aby dać wyobrażenie o współczesnej technice podając choćby tylko suche cyfry i daty. Poprzestańmy tylko na tych, które w chwili obecnej należą naprawdę do największych zdobyczy techniki ludzkiej tj. na najdłuższym moście San Francisco, największej soczewce, największym samolocie pasażerskim, największym aparacie Roetgena, największym zwoju kabla, najdłuższych szynach świata. Najdłuższy na świecie most w San Francisco kosztował 77 milj. dol., największa soczewka kinematograficzna specjalnie skonstruowana na koronację króla Jerzego VI w r. 1936 przez wytwórnię Dallmeyer w Anglji, waży 25 funtów, podczas gdy zwykła soczewka kamery filmowej posiada wagę czterech uncyj. Dzięki tej właśnie soczewce można obraz powiększać dwieściekrotnie, a dopuszczalna odległość zdjęcia wynosi aż całą milę! Jeżeli chodzi o największy samolot pasażerski świata, to angielskie towarzystwo „Imperial Airways" buduje ich aż 14. Każdy z nich ważyć będzie 20 tonn, szybkość maksymalna samolotów wynosić będzie przeszło 200 mil na godzinę. Samoloty zaopatrzone w cztery motory posiadać będą siłę 3400 HP., a będą mogły bez lądowania przebywać przestrzeń 1.000 mil. Czterdziestu dwu pasażerów poza załogą złożoną z pięciu osób będzie wygodnie podróżowało w tych latających gigantach. Największy aparat Roentgena znajduje się w szpitalu St. Bartholomew w Londynie służąc do leczenia raka. Został on skonstruowany przez zakłady „Metropolitan-Vicker Electrical Company" w Trafford Park, Manchester, kosztował zaś 30.000 f. szterl. Siła tego aparatu wynosi 250.000 do miljona wolt, waży on zaś więcej jak 10 tonn, wytwarzając promienie silniejsze, niż te, które dać może 100 gramów radu! Choćby nie wszystkie podane szczegóły odpowiadały zupełnie prawdzie — nawet uczonym zdarza się nieraz, że entuzjazm dla nowego arcydzieła techniki zbytnio ich „poniesie" — to i tak mogą nas one zorjentować co do wielkości i siły aparatu. Powracając wkońcu do wyliczenia współczesnych cudów świata, wspomnijmy jeszcze o najdłuższym kablu świata długości 7 i pół mili ang., a grubości 4 i pięć ósmych cala.

Olbrzymi ten zwój kabla nie posiada spojeń, jest zrobiony z jednego kawałka, a waży 57 tonn! Pendant tego olbrzymiego kabla są najdłuższe szyny na świecie, długości 120 stóp, znajdujące się na linji należącej do London & North Eastern Railway Co w okolicy Peterborough w Anglji, gdzie przebiegają ekspresy z szybkością 90 mil na godz. Chodziło w tym wypadku o stworzenie możliwie długich szyn bez spojeń, co wpływa na zmniejszeniu wstrząsów pociągu.

Tak wyglądałyby ważniejsze cuda współczesnej techniki. Zadziwiają swą wielkością, precyzyjnością: nowym cudem techniki będzie wystawa światowa w N. Jorku w r. 1939. Jak widzimy, antyczne siedem cudów świata należy do przeszłości, a nowe świadczą o tem, że człowiek wnosi w życie coraz to nowe zdobycze swego genjusza.

**Jan Maleszewski.**

# Życie i PIOSENKI Irvinga Berlina

Rok 1901...

Po posępnych, brudnych uliczkach East Side, najbiedniejszej dzielnicy New-Jorku, włóczy się chudy, obszarpany chłopak. Włóczy się od szynku do szynku, od golarni do golarni, przystając wszędzie na chwilę, by zaśpiewać piosenkę. Ma miły głos, zna sporo różnych melodyj, więc tu i ówdzie rzuci ktoś centa lub dwa. Żebraczy ten zarobek jest podstawą bytu małego sieroty, który jako całą spóściznę po ojcu emigrancie rosyjskim, otrzymał parę książek w nieznanym, słowiańskim pisanych języku. Lecz żyć trzeba — trzeba więc śpiewać po knajpach i fryzjerniach.

Rok 1905...

W tłoku eleganckich kabrjoletów, powozików i dorożek na Piątej Avenue przemyka się zamorusany gazeciarz. Czepia się resorów landar, wskakuje na stopnie karet.

— New York Times! Daily News! Morning Post! Tylko dwa centy! Wojna rosyjsko-japońska! Nadzwyczajny doda....!

Chudy chłopak ma dosyj tej pracy. Denerwują go ryczące, nowomodne automobile, męczy całodzienne wykrzykiwanie. To już, na szczęście, ostatnie dwa tygodnie. Za pół miesiąca ma być przyjęty na pikola do baru.

W dwa lata potem jest już kelnerem w restauracyjce na Pell Street, w chińskiej dzielnicy San Francisco.

Korzystając z przerw w usługiwaniu, podchodzi do orkiestry, by przy jej akompanjamencie zaśpiewać jakąś modną piosenkę. Młodzieniec ten nazywa się Irving Berlin. — Ma ładny głos i jest przystojny, a więc lubiany przez publiczność. Jest koleżeński, a co za tem idzie popularny wśród personelu: kelnerów i muzykantów. Jeden z tych ostatnich, pianista, pomaga mu nawet w układaniu piosenki zatytułowanej: „Marysia ze słonecznej Italji" [1]). Otrzymują za to od właściciela lokalu po 33 centy dla każdego. To honorarjum zniechęciło zapewne Berlina, gdyż dopiero po trzech latach zabiera się do komponowania nowej melodji [2]). Lecz znów spotyka go zawód. Rytm za śmiały, przynajmniej w uszach ówczesnej publiczności, brak słów do śpiewania refrenu, rokują generalną „klapę". Gdyby nie skromny praktykant z sąsiedniej apteki, na tem skończyłaby się muzyczna karjera Irvinga Berlina. Dzięki jego namowom Berlin pracuje dalej przez parę miesięcy, zmienia i poprawia, aż trafia na refren: Chodź i posłuchaj! Come on and hear! Come on and hear!".

I tak, w roku 1911-ym, powstaje najpopularniejsza chyba piosenka świata.

Z San Francisco, przez Chicago, teatry New-Jorku i kabarety Broadway'u wędruje „Alexander's Ragtime Band" do Paryża. — Stąd, już jako „Le pas de l'ours" dociera przez Wiedeń do Warszawy, by zbierać oklaski w operetce „Jedynaczka króla szmalcu".

Melodja ta nie zeszła z repertuaru przez prawie lat 30-ci. Wydana w 2,000.000 egzemplarzy, setki razy nagrywana na płyty przetrwała do dziś. Przyniosła Berlinowi nie tylko 100-dolarową posadę w firmie wydawnictw muzycznych; była bowiem pierwszym, największym może ze wszystkich, krokiem ku karjerze.

Nadchodzi rok 1913 — epoka turkey-trota i publicznych dancingów. Yankesi, bez różnicy wieku, pochodzenia, stanowiska i majątku wyłamują się i trzęsą w takt murzyńskiego rytmu.

Słynny amerykański pisarz Rupert Hughes tak opisuje przedwojenną rolę tańca [3]): „To ludzkie zbiegowisko... podobne było do jakiejś dzikiej hordy, odprawiającej przedwiosenne orgje. A rozpustne to barbarzyństwo nabierało tem silniejszego wyrazu, że miało miejsce na Broadway'u, w największem mieście kraju, który miał pretensję, że jest najbardziej cywilizowanym na świecie..."

W tym czasie Irving Berlin tworzy sporo kompozycji, które lansuje nowo-odkryty pieśniarz o uczernionej twarzy — Al Jolson. Dopiero na rok przed końcem wielkiej wojny Ameryka wysłała swych żołnierzy do Europy. Pojechał z nimi też i, zwabiony pro-francuską propagandą Irving Berlin. Wrócił po kilku miesiącach jako sierżant. Mimo trudów koszarowego życia, mimo ćwiczeń i marszów, mimo grozy ostrzeliwanych okopów — potrafił nadal tworzyć swoje piosenki.

Lata powojenne były okresem odprężenia nerwowego dla Ameryki. Życie kulturalne artystyczne i towarzyskie powraca do normy z przed paru lat. Na nowo otwarte kabarety i świeżo zorganizowane orkiestry lansują przeboje o charakterze sentymentalnych ballad.

W music-hallu Ziegfeld'a występuje, debjutująca podówczas, dziś słynna na cały świat orkiestra taneczna Paul'a Whiteman'a. Gra ona najnowszy utwór Irving'a Berlin'a: „Piękna dziewczyna podobna jest do melodji". A pretty girl is like a melody", grana później w filmie „Król Kobiet".

Popularność i sława pociągają za sobą dobrobyt.

Irving Berlin zaczyna się dorabiać. Wykupuje akcje spółki wydawniczej, w której pracuje od lat. Powoli staje się jej udziałowcem, wreszcie właścicielem „Irving Berlin i t. d.". W tym czasie poznaje pannę Ellin Mackay, córkę „króla" kabli telefonicznych. Miljoner niechętnem okiem patrzy na zaloty, niezbyt jeszcze bogatego muzyka. Grozi wydziedziczeniem i, na wiadomość o ślubie córki, oficjalnie wypiera się jej. Nie można powiedzieć, aby młoda para bardzo przejęła się ojcowskim gniewem. Beztrosko podróżują po Europie. Po powrocie Irving Berlin reorganizuje swą firmę. A w dniu, w którym osiąga pierwsze 20,000.000 majątku przychodzi na świat jego syn. I wszystko jest, jak mówią Amerykanie: O'Kay. Teść przywrócił do łask marnotrawną córkę, sypią się zamówienia, firma świetnie prosperuje.

Jedno jest tylko przykre to, że reporterzy wdzierają się wszędzie.

Dziennikarze podnosili wielki lament komentując fakt, że Berlin nie zna nut, i zaledwie słabo gra na fortepianie.

Oto, co im odpowiedział:

„W czasach, gdy zaczynałem komponować, przychodziło do wydawcy wielu ludzi. Chcieli oni wydrukować swe piosenki. Lecz żaden z nich nie tylko, że nie znał nut, ale nawet nie umiał podpisać swego nazwiska. Oni mieli melodję w swych sercach, a tylko to było ważne"!

W jakiż więc sposób dawano sobie z niemi radę?

„Każdy wydawca miał zawsze pod ręką pianistę, który grał i zapisywał słuchaną piosenkę. Gdyby nie było owych pianistów — ciągnął z uśmiechem Irving Berlin — prawdopodobnie i ja musiałbym nauczyć się czytania nut".

Kompozytor nie znający nut, to paradoks, który tylko w rzeczywistości mógł się zdarzyć.

Lata 1928—1934 poświęcił Berlin pracy przy komponowaniu komedyj muzycznych. Ze znanych w Polsce mamy tu foxtrota „Ach, gdybym to ja mógł". „I never had a Manee" — wchodzącego w skład „żelaznego" repertuaru Tadeusza Olszy.

W roku 1935-ym spotkał się Irving z Fredem Astaire'm.

Do jego filmów napisał sporo piosenek, a każda z nich przyniosła obu artystom pełny sukces. Melodje te, z filmów „Panowie w cylindrach" i „Błękitna parada" są wszystkim dobrze znane. „W siódmem niebie", „Tańcz mój złoty", i „Potańczymy jeszcze ten raz" były przez długi czas przebojami.

— Komponowanie melodyj nagiętych do wymagań tekstu nie przedstawia dla Berlina żadnej trudności. Sam zawsze pisze słowa do swych piosenek, zaczynając komponowanie od jednego, przewodniego zdania. Czasem wystarczyło jedno słowo, by pobudzić jego zapał twórczy. Tak, naprzykład, było ze słynnym „The Piccolino".

Wspominałem, na początku mego feljetonu, o pomocniku z apteczki w chińskiej dzielnicy San Francisco. Podobnie jak Berlin i on zrobił karjerę, w innym nieco kierunku. Jest obecnie vice-prezesem wytwórni 20-th Century Fox. Z Irving'iem łączy go nieprzerwana od lat przyjaźń. To też nie należy się dziwić, że zrealizował dwa filmy poświęcone Berlinowi. Pierwszy, to „Światła bulwarów", drugi „Szalony chłopak". Ten ostatni jest może tem ciekawszy, że stanowi przegląd chronologiczny piosenek „Ojca jazzu", najsłynniejszego kompozytora jazz'owego świata. W oryginale film ten nosi tytuł „Alexanders Ragtime Band" — zaczyna się bowiem i kończy tą piosenką.

Najnowszym utworem Irving'a Berlin'a jest „„Zakochana Pani" z Fred Astaire'm i Ginger Rogers.

---

Do nas dochodzą tylko słabe echa artystycznych wydarzeń świata. Wszędzie bowiem jazz uznany został na sztukę i wywalczył sobie prawo obywatelstwa w dziale muzyki. Nie możemy jeszcze słuchać muzyki tanecznej bez pląsania i podrygiwania w jej takt. Inaczej jest w Ameryce. Tam 600 piosenek Irving'a Berlin'a uznano za narodowy dorobek artystyczny. Najlepiej o tem świadczy to, że nikomu nieznany chłopak, który nawet nie znał nut, potrafił od gazeciarza dojść do miljonowej fortuny.

**Wacław Podhorski-Okołów.**

[1]) „Marie from sunny Italy".

[2]) „Alexander and his Ragtime Violin".

[3]) Rupert Hughes: „Co ludzie powiedzą".



**„TOP HAT"** Ginger Rogers i Fred Astaire w czasie próby z Irvingiem Berlinem, twórcą ilustracji muzycznej do słynnego filmu.

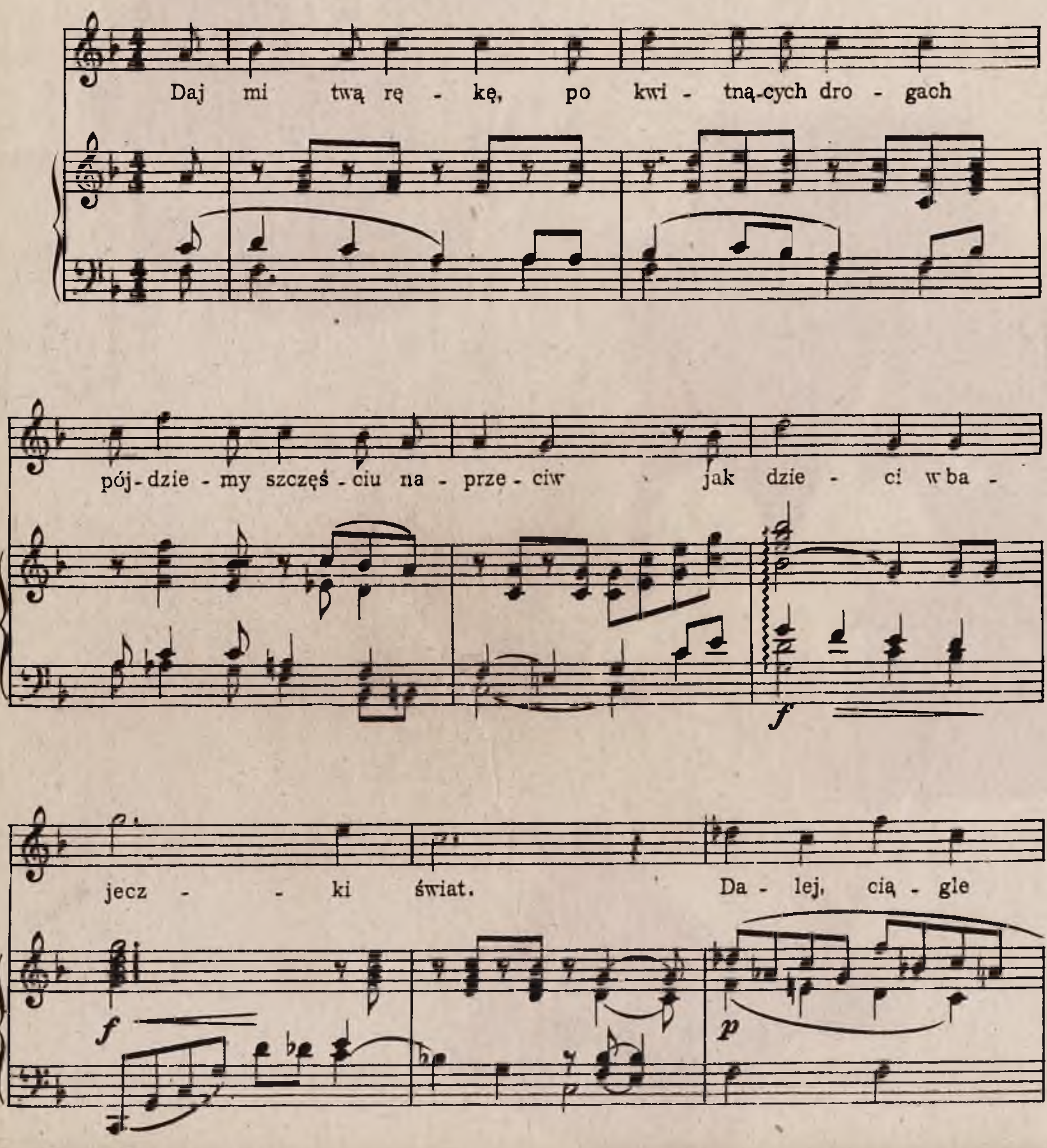


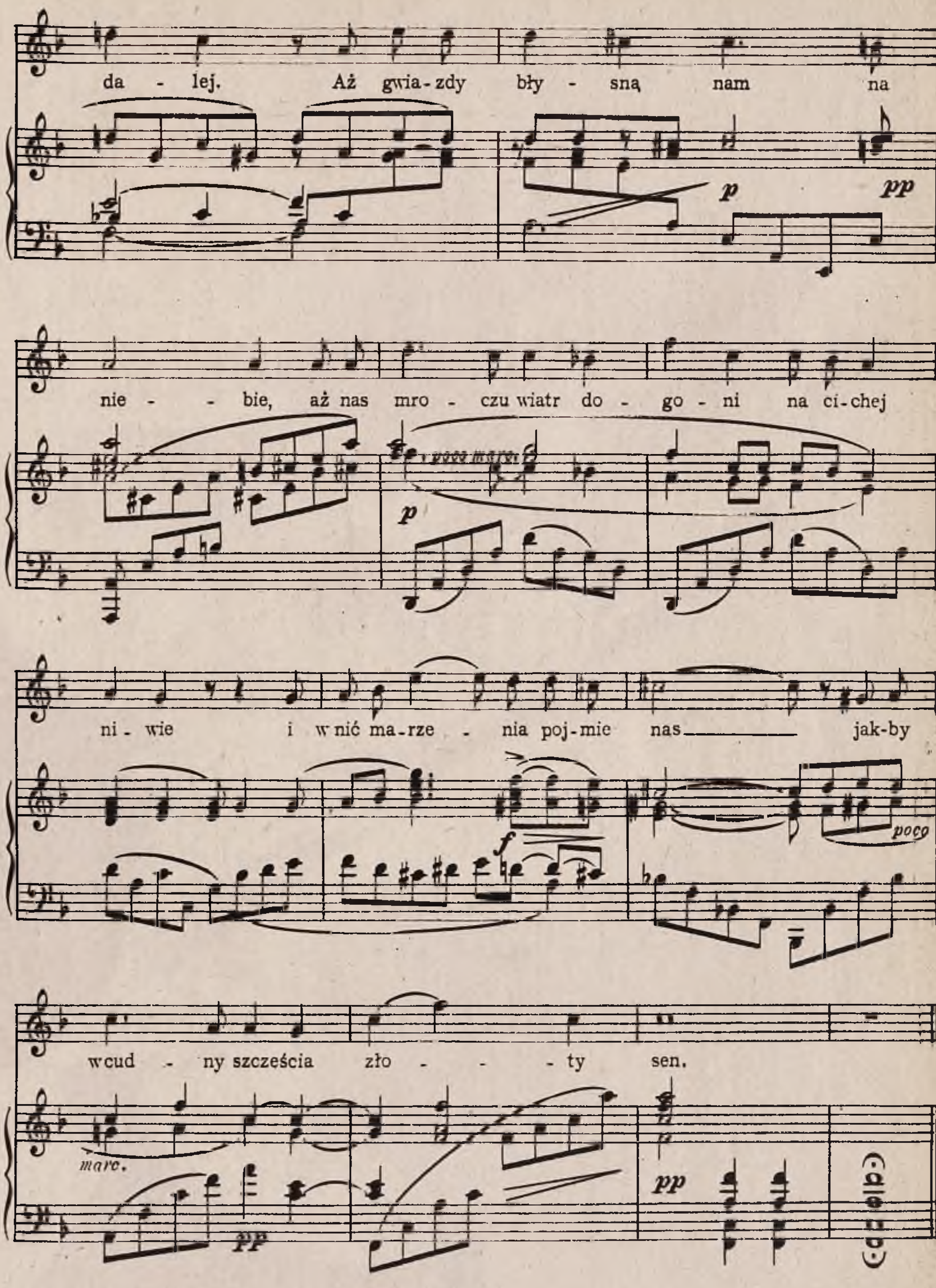
Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA":

# Złoty sen...

## PIEŚŃ

LUDWIK MASCHOFF



# DOKTÓR RAFAŁ BRZOZA

## NOWELA

WŁADYSŁAW WRZESZCZ

Przed wieczorem doktór Brzoza wstał z łóżka ustawionego w mrocznym kącie chaty. Na podłodze leżały ukosami jasne smugi słonecznego światła, po ścianie pełzał drżącym ruchem pręgowany cień moskitiery. Wiatr musiał poczynać się za oknem.

Doktór siadł przy stole. Rysował paznokciem po powierzchni drewnianego blatu, po konturach tłustych i wypalonych plam. Z odwiniętych rękawów bluzy brudnej i zniszczonej wyzierały muskularne ramiona o żółtawej skórze. Chuda szyja, pokryta szarym, dawno nie ogolonym zarostem, zakończona była dużą głową o czole szerokiem i mocno sklepionem. Brunatna czaszka przeświecała z pod pasm złotawych, rzadkich włosów. — Doktór Brzoza przymknął oczy, ale prawa dłoń nie spoczęła ani chwili po stole, niespokojna, jakby oddzielona od reszty ciała, zastygłego, zamykającego spokój w zarysie przygarbionych ramion.

Dziewczyna murzyńska nuciła za oknem cienką, monotonną melodję, przeleciał metaliczny szelest liści kwitnącej czeremchy i zcichł. Doktór pochylił głowę i oparł czoło o chropowatą krawędź stołu. O tej porze wspomnienie Ewy przerastać zaczynało wszystko, cokolwiek zdarzyć się mogło w jego dzisiejszej rzeczywistości.

O tej porze z myślą o Ewie ścierała się świadomość własnego niedołęstwa. Jak długo jeszcze nie będzie umiał zdobyć się na siłę dalszej wędrówki? Tkwić tu na skraju rzeki, leczyć murzynów z wioski przybrzeżnej, pić i nienawidzieć życia, co się wokoło rozwijało, a od którego odgradzał go smutek nieustępliwy, a równie cenny, jak pamięć Ewy — to była dola, na którą sam się skazywał. — Wyschło w nim źródło czynu. Inni biali wydobywali z tej ziemi bogactwo i siłę, tworzyli życie, walczyli o nie, ratowali je, gdy było zagrożone. Ale nie mieli tej wiedzy, co on. Zamierzona włóczęga urwała się niemal na początku. Nie miał już sił, tak jak zamierzał, objeżdżać osiedla, leczyć, badać klimat, zakładać stacje doświadczalne. Przeceniał poprostu swą wolę. Okazało się, że cios, jaki go dotknął, zniszczył go gruntowniej, niż on sam sądził.

Doktór, dźwignął się od stołu. Wyszedł poza zasłonę. Pod liściastym dachem werandy służąca murzyńska, Malua, pochylona, plotła jakąś matę. Nuciła cicho. Patrzył chwilę na gładkie obnażone plecy dziewczyny, ponsowe usta i jędrne ramiona. Przeszedł obok, bezwiednym ruchem dotknąwszy ich gorącej aksamitnej skóry, jak samego życia. Malua wyprostowała się pod tem dotknięciem. Doktór dawno odszedł już, a ona siedziała brązowa, nieruchoma jak posąg, lśniąca, do bioder owinięta spłowiałym perkalem...

Doktór Brzoza minął żywopłot. Stał chwilę patrząc, jak na połyskującą wodę rzeki, szklaną gładziznę, padającą z nad dalekich wzgórz blaski zachodzącego słońca. Moskity brzęczały żałośnie i cięły wściekle; nie opędzał się im nawet, odrętwiały. Siwe dymy snuły się leniwie wśród brunatnych kopułastych chat na drugim brzegu rzeki. Ludzie z wioski budowali tę k a s b ę, ludzie, których Brzoza leczył — z nudów. Żył zresztą w ciągłym strachu, że wkońcu zdarzy się potrzeba jakiejś operacji, a wtedy on, doskonały chirurg, będzie musiał patrzeć bezradnie na chorego. Operacji już bowiem nie dokona nigdy. Nie dokona jej nawet na zwierzęciu!

Na zwalonym pniu nad rzeką, Camp i De Bruhaux gestykulowali zawzięcie. Miał ich już dosyć, tych zwarjowanych tropicieli żuków razem z ich preparatami. Gdyby nie whisky, której mieli wielkie zapasy, zaproponowałby im wprost, by się przenieśli do innej chaty, choć w tych stronach był jedynym białym. — Idąc starał się ominąć przyrodników, ale ci go już dostrzegli. De Bruhaux mały, czarny, wysuszony, wstał. Duży Camp tkwił na pniu. Zawołał:

— Hoo! Doktorze, prosimy do nas!

Brzoza skierował się ku nim. Daleko na wzgórzach czerniały lasy, niebem płynęły śniegi obłoków. Niedługo zaczną padać deszcze, okolica zmieni się w jedno wielkie bagno. Wtedy febra pewna. Gdyby chciał stąd wyruszyć, wieś dałaby mu tragarzy. Wystarczy brzegami rzeki dotrzeć do brudnej faktorji, gdzie siedzi trzech wiecznie przerażonych Francuzów i gdzie dochodzi zadymiony, cuchnący parowiec. Stamtąd już niedaleko do morskiego brzegu. Brzegiem idzie lotnicza linja. Możnaby wrócić do kraju. Cóż, kiedy wszędzie czeka pustka...

Camp złapał żuka. Trzymał go właśnie wielkim i wskazującym palcem, odwróconego żółtym podbrzuszem do góry i przebierającego łapkami, gdy zdaleka napłynął dźwięk cichy, jak brzęczenie moskita. Doktór Brzoza oderwał wzrok od swych żółtych, popękanych butów, spojrzał wgórę. Wcięty wysoko w niebo, między krwawymi obłokami pławił się w soku zorzy srebrny samolot. Położył się na wirażu i spływał łagodnie. Brzoza uniósł brwi, zdziwiony. Nie mogła to być maszyna linji francuskiej, brzeg morski zbyt jest stąd oddalony. Pod ukośnem słońcem zniżała lot. Camp przestał się zajmować żukiem, cisnął go w trawę i patrzył. Obok De Bruhaux ze śmiesznie zadartą głową.

Samolot zatoczył kilka kręgów coraz niższych, Camp wzruszył ramionami.

— Szuka miejsca do lądowania — orzekł.

Brzoza obrzucił krótkiem spojrzeniem wzgórza.

— Do djabła — pomyślał — przecież na tym terenie nie wyląduje. Kark sobie skręci. Tak: podchodzi do lądowania!

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, samolot pikował już, łagodnie z początku, potem coraz stromiej. Motor huczał nie zamknięty, szybkość wzrastała. Zamilkli wszyscy trzej. Bruhaux mruknął coś zdławionym głosem i ucichł. Camp otarł z czoła krople zimnego potu. Motor rzęził, srebrne połyski smagały boki samolotu. Walił z nad lesistych wzgórz coraz niższy, kilka sekund długich jak godziny — i otwyrżnął z ostrym brzęczącym hukiem o ziemię i skapotował, wyrzucając wgórę kępy trawy. Gdy dobiegli, doktór Brzoza zobaczył na skrzydłach biało-czerwone znaki.

Polski samolot w dżungli afrykańskiej! Wyglądało to, jak senny majak. Bezwładny pilot w obszernym kombinezonie zwisał z siedzenia wśród spękanych blach. Był sam. Odpięli pasy i Camp z doktorem wyciągnęli go ostrożnie. To ciało bezwładne, obwisające w ramionach, ziemisto-szara twarz, poznaczona czerwonemi pasmami krwi, zamknięte oczy, przejęły Brzozę wzruszeniem. Przesunęło się wspomnienie sal operacyjnych, białych, ciepłych pachnących jodoformem i eterem. Fartuchy lekarzy, brzęk narzędzi w wanienkach. Jakże świeżo pachniał ten eter w czasach, gdy bezwładne ciała ludzkie z ufnością wydawały się dłoniom chirurga Brzozy... Ułożyli nieprzytomnego lotnika na pożółkłej trawie. Brzoza macał czaszkę. Nienaruszona. Całe były również szczęki. Tylko nos uginał się pod palcami. Brzoza rozpiął combinezon, słuchał... Serce biło słabo. Tu chyba tylko operacja będzie mogła coś pomóc.

— Zdaje się, że jest z nim źle — powiedział. — Camp, niech pan idzie po nosze. Camp odszedł. De Bruhaux obchodził wkoło samolot wbity w ziemię silnikiem. Części strzaskanego śmigła leżały, jak odłamki kości.

Wieczór. Murzyńska dziewczyna Malua nuci znów swoją monotonną, posępną piosenkę, oparta plecami o słup werandy, patrząca w księżyc, co wstaje nad kępą niskich palm. Milknie po chwili i wchodzi do kasby. Bierze wiadro i bezszelestnie odchodzi. Ranny spoczywa rozebrany na łóżku, mdleje co chwila. Camp niezdarnie skrapia mu twarz wodą z drewnianego kubka. Mały Bruhaux z rękawami zakasanymi po ramiona myje stół ryżową szczotką. Brzoza odstawił postrzępioną walizkę, skóra jej była spleśniała i uszkodzona przez mrówki. Odetchnął głęboko, wciągnąwszy zapach dymu i trzymając na kolanach stos narzędzi lekarskich, ułożonych na starym fartuchu, grzebał w nich, brzęcząc palcami. Niektóre z nich poczerniałe, inne pokryte plamami świeżej rdzy. Dawno nie używane szczypce, haki, wzierniki, kleszcze, nożyce, lancety.

Cała wiedza, całe czarodziejstwo walki ze śmiercią, rozdzwonione w jego rękach, niegodnych zaufania. Odrzucił niektóre zbyt już zniszczone narzędzia, resztę uniósł ostrożnie w fartuchu i wstał. Ręce niegodne zaufania jeszcze raz będą musiały dokonać próby ratowania życia. Jeżeli będzie operował, pilot może umrzeć. Nie operowany, umrze na pewno. Polak. Na wielkim obszarze afrykańskim spadł akurat w polskie ręce!...

Gdy w chwilę później Brzoza siedział przy ogniu, chudy, wydłużony, o fanatycznej twarzy i przygarbionych plecach, wygotowując narzędzia i strzępy dwu swoich koszul, weszła Malua z wiadrem wody. Odwrócił się z rękami pełnemi narzędzi, które w blasku zdawały się ociekać krwią migotliwą, wyglądał groźnie i tajemniczo. Zobaczył w oczach dziewczyny przerażenie. Uśmiechnął się, lecz w tej samej chwili jego przejął lęk, zrozumiał, że za chwilę pochyli się nad sprawą ciemną i ponurą, jak głębia mrocznej wody, nad sprawą życia i śmierci...

Dawniej był tylko chirurgiem, teraz trwożne człowieczeństwo wyzwalało się w nim i — przeląkł się siebie.

— Wygląda pan, jak wielki czarodziej — powiedział Bruhaux piskliwym głosem.

Odwrócił twarz ku ogniowi i podjął pracę. W jarzeniu złotych węgli, w przelocie płatków popiołu, jasnoszarych i miękkich, jak ćmy, mignęła — twarz Ewy. Płomień zakipiał, strzelił i przygasł. Mały Bruhaux rzekł:

— Stół gotowy. Możemy przenieść rannego.

Pogłębiał się na dworze nocny mrok, na-

sycony wiatrem. Doktór Brzoza pochylony nad stołem szył jeszcze, palce odzyskały sprawność, rozpłynął się w nich kościsty bezwład. Sucha twarz Camp'a mroczniała w kręgu lampy uniesionej wysoko, po drugiej stronie stołu balansował z nogi na nogę mały Bruhaux, zmęczony staniem. Malua smukła i milcząca zastygła na progu drzwi. Brzoza otarł pot z czoła, zostały na nim smugi krwi. Założył ostatni ścieg.

— Koniec — powiedział.

Stał wyprostowany, oddychając ciężko. Jak dotąd wszystko dobrze. Jeżeli tylko nie będzie zakażenia lub skrzepu. Jakże to było dawno, gdy stał tak wyprostowany w chwili, gdy zastygało porażone serce Ewy. Wyszedł wówczas prosto z sali na balkon lecznicy. W gąszczach jaśminowych śpiewał wiosenny ptak. Wtedy pomyślał, a myśl ta dzisiaj wróciła: „Czemże jest granica między życiem a śmiercią. Nicią. Nicią tylko, wątlejszą niż pajęczyna — a przecież dzieli światło od ciemności".

Camp gwizdnął cicho. Bruhaux rozwarł szczęki z dziwnem mlaśnięciem.

— Możemy go już chyba przenieść na łóżko — powiedział Camp.

— — — — — — — —

Wieczór. Murzyńska dziewczyna Malua przeszła przez ogród pełen niesamowitego żółtawego światła, podobnego chyba do odblasku nadbrzeżnych trzcin. Doktór Rafał Brzoza i inżynier pilot Klemens Potocki patrzyli chwilę za jej posągową postacią, nim odwrócili się i poszli dalej nad rzekę. Inżynier opierał się na zagiętej, sękatej lasce. Jego szeroka postać kurczyła się jeszcze w chodzie, jakby ściągały ją niezliczone szwy i blizny. Górą ciągnęły obłoki zabarwione, jak stada czerwonaków. Chropowata twarz lotnika o przełamanym nosie, grubych szwach na podbródku i czystych lśniących, błękitnych oczach czerwieniała lekko pod poświatą.

— Muszę panu jeszcze raz podziękować, doktorze. Prędko mnie pan uzdrowił.

— Niezbyt prędko. Minęło już dobrych kilka tygodni. Ale cieszę się, że jest już dobrze. Miałem dużo szycia, jakbym robił dywanik z kawałków skóry.

— Aha — mruknął pilot. Dodał: — Nie uwierzy pan, jak mi się słabo zrobiło, gdy po odzyskaniu przytomności, usłyszałem, jak pan do mnie mówił po polsku. Myślałem, że jestem w kraju, albo już na drugim świecie! Co pan myśli! Lecieć tyle czasu nad brussą, spaść w jakiemś pustkowiu i odnaleźć rodaka. Jest nas więcej na świecie, niż sądziłem. No tak, ale z tym lotem miałem pecha.

— Co się właściwie stało pańskiej maszynie?

— Silnik! Ale nie sprawdzałem jeszcze co właściwie. No tak. Taki lot dookoła kuli ziemskiej nie jest łatwy. Trudno, polecę jeszcze raz, jak już będzie dobrze. Widzi pan, doktorze, to jest tak, jak narkotyk. A przytem jeszcze i to. Jak się leci, to na ziemię pada cień samolotu. Otóż ten cień polskiego samolotu na różnych lądach, na morzu, to tak, jakby symbol...

Zająknął się, poczerwieniał silnie, aż szwy nabrzmiały i umilkł. Brzoza podniósł głowę, pokrytą rzadkimi włosami. Rzekł tylko:

— Rozumiem.

Zbliżyli się do rzeki. Z chat wsi płynęły, jak zwykle, leniwe dymy, pluskała woda przy brzegu, podrywając ziemię.

— Chodziłem trochę po okolicy wczoraj i dziś — powiedział lotnik po chwili milczenia — obejrzałem wioskę. Poco pan właściwie tu siedzi? Pewnie, że nawet tych kilkudziesięciu murzynów potrzebuje pomocy, ale są i inni potrzebujący jej. Zszył mnie pan tak doskonale, ma pan dobrą rękę i szczęście w operowaniu! A przecież w tem pustkowiu nie ma pan kogo operować. Niech pan wędruje!

— Przyjechałem tu właśnie z takim zamiarem. Ale utknąłem. Nie mam sił, ani woli. Nie operowałem od dłuższego czasu.

Skręt rzeki błysnął, jak metaliczna tarcza. Inżynier przysłonił oczy dłonią i patrzył. Kasztanowe włosy wichrzyły mu się na kanciastej czaszce.

— Podczas lotu lądowałem w jednej z osad w Południowej Ameryce — mówił wolno — była to akurat polska osada. Tego dnia drzewo przywaliło dwóch ludzi. Kości połamane, ścięgna w strzępach, ale przy dobrem szyciu mogliby żyć! Drogi niezłe, lecz cóż, skoro kilkaset mil wokoło ani jednego chirurga? Zaczęli więc leczyć tych dwóch domowymi środkami. Pod wieczór już gangrena. W bliskiem miasteczku był lekarz, ale taki, że jak się zabrał do ran, to tylko trumnę zbijać.

Brzoza oglądał w zamyśleniu swe długie palce i czyste dzisiaj paznokcie.

— Widzi pan — rzekł, wyciągając ręce — nie mam zaufania do moich rąk. Dlatego tu siedzę. Pójść między ludzi i operować, krajać żywe ciała, które czekają życia od rąk, to jest to samo, co nosić wielki ciężar ludzkiej ufności.

Przystanęli. Powolny, rdzawy nurt pluskał lekko o zmurszały pień drzewny.

— Kiedyś — mówił cicho doktór — miałem żonę. Bardzo młodą i bardzo ładną. Zachorowała ciężko, trzeba było koniecznie operować. Myślałem: żaden lekarz nie zna jej ciała tak, jak ja. Żaden go nie kocha. Miłość, to także dobry środek leczniczy. Chciałem, by żona moja tylko mnie zawdzięczała wyzdrowienie, chciałem ją silniej do siebie przywiązać, by zaufała moim rękom, jak ja im ufałem. Postanowiłem, że będą ją sam operował. Tego się nigdy nie powinno robić. Lekarze odradzali mi i słusznie. No cóż, uparłem się. Operowałem. Zmarła na stole operacyjnym. Mimo to operowałem później jeszcze parę osób, zawsze z wynikiem śmiertelnym. Więc uciekłem.

Pilot uderzył kijem w wodę, krople wytryskiwały. Rzekł:

— To są zdarzenia, którym się nie wywinie. Ja spadałem nieraz, a przecież mam zaufanie i do maszyny i do rąk. I latam. To jest moja wyższość nad zdarzeniami.

Umilkł. Po chwili rzekł, patrząc doktorowi prosto w oczy:

— Żeby pan widział, ile wiary ma w oczach ta dziewczyna, gdy patrzy na pana. I ci przyrodnicy. I ja... — dodał ciszej.

— — — — — — — — —

W poczynającej się nocy doktór Rafał Brzoza wyszedł na werandę. Księżyc zbielał już, cienki, okrągły, naświetlał zimnym blaskiem głębokie niebo. Ale noc sama była gorąca, bez żadnego powiewu. Daleko na wzgórzu tkwił srebrny kształt samolotu, spokojny, czuwający pod nocą. Doktór Brzoza oparł się ramieniem o słup. Pojął, że z tym znakiem, rzuconym tutaj, znakiem, co dziwnem zrządzeniem z dalekiej Ojczyzny lecąc, aż tu go odnalazł, poczęła się w jego życiu przemiana...

**P** ściegu do przećwiczenia na drutach przed rozpoczęciem wykonywania szala, czapeczki i okładki na książkę; rząd 1-szy: 3 oczka gładkie, 2 gładkie przerobione razem na jedno, nabrać oczko dodatkowe, 1 gładkie, 1 dodatkowe, 2 gładkie przerobione razem. Powtarzać do końca rzędu. Rząd 2-gi przerabia się tak samo, ale wszystkie oczka robione są na wywrót. W ten sposób przerabia się 6 rzędów, poczem przestawia się wzór, zaczynając od motywu ażurowego.

**Szal** jest wykonany na drutach w dwóch odcieniach włóczki. Obie części zeszywa się razem krytym ściegiem, który dzieli szal na dwie połowy. Każda połowa jest zrobiona na 50 oczkach. Na całą szerokość robi się szal, powtarzając 11 razy zasadniczy wzór. Następnie zwęża się szal, ujmując przy obracaniu roboty za każdym razem 1 oczko, aż dojdziemy do szpica. Szal przeciągnięty jest przez kółko, które wykonuje się gładkiemi oczkami po parę rzędów w obu kolorach szala.

**Czapeczka** jest zrobiona szydełkiem, a kokarda przy niej na drutach, tak samo, jak szal. Czapeczka jest z jaśniejszej włóczki, a kokarda w obu odcieniach. Zaczynamy czapeczkę od 3 oczek łańcuszka, które zamykamy w kółeczko. Na niem haczkuje się 6 niskich słupków, a następnie haczkuje się niskimi słupkami ślimacznicę, robiąc na każdym słupku po dwa słupki. Tak powstaje koło o coraz większej średnicy, aż osiągnie ono 15 cm. Wówczas dodaje się słupki już tylko co drugi, aż wreszcie osiągniemy obwód głowy. W trakcie roboty należy często czapeczkę przymierzać na głowie, aby uzyskać właściwą formę.

**Kokarda do czapeczki** wykonana jest na drutach. Przygotowuje się na nią dwa pasy po 15 oczek i wykonuje się wzór, jak do szalika. Po trzykrotnem powtórzeniu motywu zwęża się pas, odejmując po 1-nem oczku z jednej tylko strony, przez co zakończenie kokardy będzie ukośne, odmiennie niżeli przy szalu. Łączy się dwie części kokardy podobnie, jak szal, a dla usztywnienia jej, wykańcza się ją dwoma rzędami niskich słupków szydełkiem wokoło, każdą połowę swoim kolorem. Miejsce łączenia jest wciągnięte na kółko, podobnie, jak jest zrobione do szala, ale mniejsze.

**Okładka na książkę** zrobiona jest z 8 części, po 4 w jednym kolorze. Na jedną część przygotowujemy na drutach 20 oczek i wykonujemy zasadniczy wzór czterokrotnie na wysokość. Wszystkie części zeszywa się niewidzialnym ściegiem w szachownicę.

Podszycie teczki na książkę powinno być z sukna, które posiada odpowiednią trwałość. Po bokach daje się sukno podwójnie, aby można było wsuwać tam okładkę książki. Brzegi wykańcza się niskimi słupkami szydełkowymi. Na wierzchu wyszywa się inicjały ze sznureczka-łańcuszka, zrobionego szydełkiem. **Mewa.**



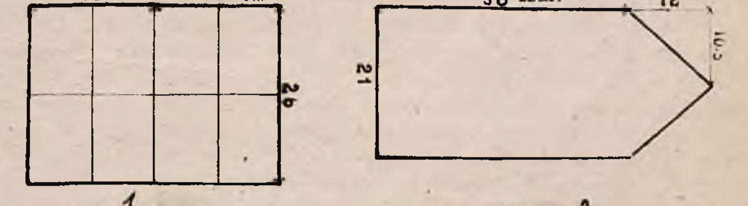
**Oto piękny model czapeczki, szala i okładki na książkę zrobiony z włóczki w dwóch kolorach.**

ZROBIĘ ★ TO ★ SAMA

# PRAKTYCZNE DROBIAZGI WYKONANE NA DRUTACH I SZYDEŁKIEM



**Na lewo: Wzór techniki, jaką wykonujemy szal, kokardę na czapeczkę i okładkę na książkę.**




**Schemat okładki na książkę i połowy szala.**

# Jak przeciwdziałać marznięciu rąk i nóg?



Dokładne nacieranie rąk tłustym kremem zabezpiecza je przed zmarznięciem.

Wrazie zastarzałego odmrożenia stosuje się z powodzeniem naświetlania lampą kwarcową. — Wcieranie kremu w odmrożone miejsca ręki przynosi znaczną ulgę.

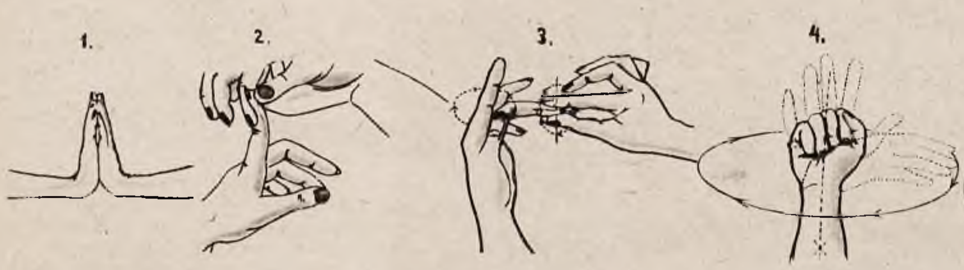


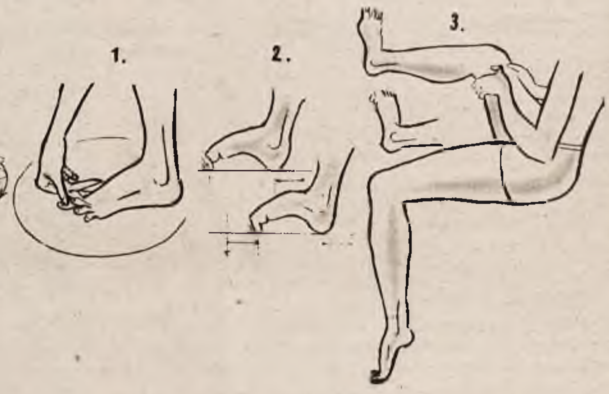




Dobrym środkiem na usunięcie odmrożenia jest moczenie rąk w gorącej wodzie po ugotowanych ziemniakach.

Poniższe ilustracje informują nas, jak mamy ćwiczyć ręce i nogi, chcąc pobudzić cyrkulację krwi.




Ileż to pań skarży się już teraz na marznięcie rąk i nóg, a cóż dopiero będzie za parę tygodni, gdy nastaną mrozy, odwilże i wszelkie przykrości związane z zimową aurą?

Czy wtedy pozostawać będziemy w domu, zamiast hartować organizm na zdrowem, mroźnem powietrzu?

Po stokroć nie!

Trzeba tylko poczynić pewne przygotowania, które ochronią nas od chronicznego marznięcia rąk i nóg.

Jak zapobiegać marznięciu rąk?

Mamy lekarstwa zarówno w dziedzinie kosmetyki, jak i gimnastyki. Kosmetyka nakazuje częściej niż w lecie używać natłuszczających kremów, czy też samej tylko gliceryny, mieszanej po połowie z wodą różaną. Kto ma ręce odmrożone z poprzedniej zimy, niechaj codziennie moczy dłonie w wodzie z wygotowanych ziemniaków i to możliwie gorącej, o ile tylko skóra wytrzyma.

W wypadkach, wymagających interwencji lekarza, zastosowana być może lampa kwarcowa, którą naświetla się odmrożone miejsce na dłoni, przyczem zdrową partję ręki zakłada się tłustym kremem. Są także specjalne pasty do rąk na odmrożenie. Skuteczność ich polega jednak nietylko na samych właściwościach chemicznego składu, ale na systematyczności stosowania zabiegów, gdyż jednorazowe czy wogóle sporadyczne stosowanie leczniczego kremu nie może mieć żadnego znaczenia.

Aby mieć ręce stale rozgrzane, stosujmy trochę gimnastyki dłoni i palców, a wychodząc na ulicę wkładajmy rękawiczki na ciepłe ręce i nie używajmy rękawiczek obcisłych, lecz tak obszernych, aby powstawały w nich wolne przestrzenie dla powietrza, które rozgrzawszy się od ciepła rąk, stanowić będzie warstwę izolacyjną.

A oto kilka odpowiednich ćwiczeń: 1) Złożyć dłonie jak do modlitwy i podnosić w górę łokcie, przyczem zwiększa się wzajemny nacisk dłoni i ciepło napływa do rąk. Po kilkakrotnem powtórzeniu oddalamy od siebie dłonie i znów unosimy łokcie w górę, przyczem cały nacisk skieruje się na palce, które przytem rozstawiamy tak szeroko, jak tylko można.

2) Palcem wskazującym i wielkim jednej ręki przyginać i rozprostowywać każdy palec drugiej ręki, w jego ostatnim stawie, powtarzając to kilkakrotnie ze wszystkimi palcami obu rąk po kolei.

3) Wirować każdym palcem obu rąk po kolei przez ujęcie go palcem wskazującym i dużym ręki przeciwnej. Jeden ruch wirowy naokoło swej osi wykonuje każdy palec z pozycji przygiętej pod kątem prostym, drugi z pozycji wyprostowanej.

4) Wyciągnąć obie dłonie w górę przez zgięcie łokci. W tej pozycji silnie rozprostowywać palce i zaciskać pięści, powtarzając to 10 razy. Następnie wyprostować palce i zataczać obu rękami równocześnie koła najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Rozruszamy tem silnie rękę w przegubie, co wybitnie przyczynia się do jej rozgrzania.

A jak zaradzić marznięciu nóg?

I tu liczne są możliwości przeciwdziałania, przyspieszające przedewszystkiem obieg krwi, gdyż w przeważnej liczbie wypadków stąd właśnie pochodzi marznięcie rąk i nóg, że obieg krwi doznaje przeszkód. Ale też nogi są od naszego dzieciństwa niewolnikami obuwia, które tak wiele pozostawia nieraz do życzenia, jeżeli chodzi o względy zdrowotne. Chcąc przeciwdziałać marznięciu, należy używać w zimie wygodnego obuwia, na niskim lub najwyżej półwysokim obcasie słupkowym.

Wstając rano dobrze wygimnastykować stopy i palce nóg, aby wkładać trzewiki na rozgrzaną nogę. Także i w ciągu dnia powtarzać kilkakrotnie poruszanie palcami w bucikach, co jest możliwe w wygodnem obuwiu. Idąc ulicą, należy stąpać energicznie, miarowo zginając nogi w kolanach.

Podajemy kilka porannych ćwiczeń gimnastycznych dla stopy i palców: 1) Siedząc na łóżku ujmujemy wielki palec u nogi palcami prawej ręki, dużym i wskazującym i zataczamy nim kółka w jedną i drugą stronę, przyczem reszta palców pozostaje nieruchoma. Następnie pozostawiamy duży palec a ujmujemy dłonią resztę palców u nogi i z te kolei wprawiamy dłonią w ruch obrotowy. To samo powtarzamy z palcami gą nogą.

2) Położyć stopę płasko na podłodze i wesprzeć silnie palce, aby się nie poruszyły, kiedy przybliżać będziemy do nich palce. Powtórzyć do kilka razy jedną i drugą nogą

3) Siedząc, unosimy nogę zgiętą w kolanie przy pomocy obu rąk, które ujmują nogę powyżej kolana. W tej pozycji skurczać i rozprostowywać palce tej nogi ruchami silnymi i w rytmie bardzo szybkim. Poczujemy napływ gorącej fali krwi. Wtedy podnieść drugą nogę i w ten sam sposób ją przećwiczyć.

**Elwira.**

## KONCERTY NIEDZIELSKIEGO



Wybitny nasz pianista, Stanisław Niedzielski, odznaczony ostatnio złotym Krzyżem Zasługi, powrócił do Paryża po dłuższem tournée koncertowem w Niemczech, gdzie odniósł szereg sukcesów. Niedzielski wyrusza wkrótce na koncerty do Włoch.

★ ★ ★

## NOWE NAGRANIA PŁYTOWE KOMPOZYCYJ SZYMANOWSKIEGO



Z prawdziwem uznaniem należy powitać ukazanie się nowych nagrań płytowych utworów Karola Szymanowskiego i to w wykonaniu artystów, znających dobrze intencje artystyczne mistrza — Eugenji Umińskiej i Zygmunta Dygata. Artyści ci, którzy niemal muzykowali pod kierownictwem osobistem Szymanowskiego, przyczynili się w ten sposób do utrwalenia tradycji wykonawczej jego wielkich dzieł. Na płytach „Orpheon" nagrali oni następujące utwory: „Dwa mity", „Narcyz" oraz „Driady i Pan"; trzeci bowiem utwór tego cyklu „Fontanna Arethuzy" istnieje już w trzech wersjach płytowych; „Romans", „Pieśń Kurpiowska", jako powtórne nagranie oraz z „Harnasiów" końcowe solo tenorowe, opracowane przez Pawła Kochańskiego na skrzypce. Zadaniem tego ostatniego nagrania jest między innemi spopularyzowanie utworów Szymanowskiego, wśród szerokich warstw społeczeństwa. Radjosłuchacze będą mieli sposobność zapoznać się z temi nowemi płytami prawdopodobnie już w okresie świątecznym. — Na zdjęciu obok: Jeden z ostatnich portretów Karola Szymanowskiego (willa „Atma", październik 1935. — Fot. dr. A. M. Wieczorek. Zakopane).

## OPERA W POZNANIU



Halina Dudicz-Latoszewska, śpiewaczka o pięknym, pełnym czaru głosie i dużej kulturze artystycznej, wystąpiła z powodzeniem w tytułowej partji „Traviaty" Verdi'ego na scenie Teatru Wielkiego w Poznaniu. — Fot. M. Ryś, Poznań.

## „ZAKOCHANA KRÓLOWA" NA SCENIE TEATRU WIELKIEGO WE LWOWIE



„Impresje meksykańskie" w wykonaniu Miły Kołpikówny, Eugenjusza Paplińskiego i zespołu stanowią barwną wkładkę baletową w operetce „Zakochana królowa", granej z wielkiem powodzeniem przez Teatr Wielki we Lwowie.

# STROIMY SIĘ W CUDZE PIÓRKA...

Moda piór, to nic nowego. Znała ją już Ewa w raju według relacji Makuszyńskiego (Opowieść Rajska), znały czerwonoskóre „squaw" i znały piękne damy z epoki rokoka; zdobiły kapelusze i pudrowane fryzury pękami strusich piór. Według opisu Soulavie'go, gdy Marja Antonina przechodziła galerją pałacu Wersalskiego, widać tylko było powiewające nad głowami obecnych strusie pióra jej kunsztownej koafjury. „Mesdames de France", cnotliwe i w pobożności zasuszone ciotki króla, gorszyły się tą modą, nazywając ją dobrą dla koni.

Ale i kobiety umiały się tą ozdobą posługiwać z wdziękiem i elegancją: najlepszym tego dowodem portrety angielskich dam, pendzla Reynoldsa, Gainsborougha i Romney'a. „Pierzasta" moda utrzymywała się więc długo, z małemi przerwami przez cały niemal wiek 19-y. Przed wojną nosiło się pióra nietylko jako ozdobę kapeluszy, lecz również w postaci wachlarzy, długich boa i krótszych „colliers". Po wojnie przyszła moda na olbrzymie wachlarze strusie i na bogate przybrania temi piórami balowych tualet. Jedynie rajskie ptaki i czaple rajery przeżywały swój zmierzch.



Zima 1938/9 wskrzesiła modę piór w całej rozciągłości. Ze starych pudeł i kufrów wyszły na światło dzienne piękne pleureusy, rajery i wachlarze naszych matek i babek. — Wszystko co z piór, jest modne. Ze strusich robi się długie boa, pelerynki do sukien balowych, wachlarze, a nawet zarękawki. Przybiera się niemi wieczorowe i popołudniowe kapelusze narówni z fryzurami.

Wieczorowe uczesania w Paryżu zaczynają przypominać żywo stare portrety: wysoko z tyłu podczesane włosy piętrzą się na szczycie głowy kunsztownymi lokami, na których upina się strusie pióra, wstążki, aksamitki lub kwiaty.

Modne są również pióra kogucie, lśniące metalicznie, raz noszone jako boa, to znów pióropuszami spływające z kapeluszy modą włoskich bersaglierów. Delikatne, puszyste pióra marabutów święcą też swój triumf: robi się z nich całe cape'y i trzyćwierciowe wieczorowe okrycia, zarękawki, szerokie kołnierze do strojnych szlafroków, obszycia przy rękawach i u dołu.



Noszony do wieczorowej sukni trzyćwierciowy płaszcz z piór marabu. Fot. Dorvyne — Paryż.



Bardzo modne są długie boa i przybrania fryzur ze strusich piór. — Rys. Ewa Lee.

Na tegorocznym balu „des Petits Lits Blancs" w Cannes Marlena Dietrich wystąpiła w wspaniałym capie z łabędziego puchu, którego śnieżna biel stanowiła efektowną oprawę jej jasnowłosej urody. Czy znajdzie naśladowców? Zapewne tak.

Prócz kosztownej i pysznej arystokracji ptasiego świata, doszły do uznania i skromniejsi jego przedstawiciele. Na kapeluszach spotykamy „gołąbki pokoju" (lansowane przez angielską królową Elżbietę), malutkie różnobarwne kolibry, mewy, pstre papużki i różne kolorowe, mniejsze i większe ptaszki. Ptaki spotykamy też na wieczorowych fryzurach, a nawet na sukniach, gdzie zastępują kwiaty. Paryskie elegantki wpinają malutkie, minjaturowe koliberki w klapy żakietów jako butonierki.

Wśród nowości tegorocznej mody zauważyliśmy też kołnierzyki i mankiety z różowych lub błękitnych piórek, noszone do czarnych, popołudniowych sukien.

Jednem słowem — pióra gdzie się tylko da! Pomysłowość twórców mody jest tak niewyczerpana, że możemy się spodziewać jeszcze wielu „przebojów" w tej dziedzinie. — A cóż na to powie Z. O. Z.? Czy potrafi obronić swych pupilów przed zaborczością świata kobiecego? Prawdopodobnie nie, jak nie obronił zwierząt futerkowych, niewinnych krokodyli i jeszcze niewinniejszych sarn, gemz i reniferów. Od początku świata kobiety uważały przyrodę za rezerwuar, z którego czerpały wszystko co je zdobi, wychodząc ze słusznego zresztą założenia, że jeśli zabija się cielęta czy woły na pieczyste, jeśli poluje się na zające, rogacze i dzikie ptactwo, aby urozmaicić pożywienie, trudno oburzać się, gdy ptaki padają ofiarą ich estetycznych dążeń.

**Lady Like.**

# DUET

## „Irmina i Liljana"

★

Z zespołu tancerek polskich, występującego we Włoszech pod kierownictwem Wery Petrakiewiczówny, dwie: Irmina Cieślakówna i Lili Krystówna utworzyły duet i pod pseudonimem „Irmina i Liljana" objechały całe Włochy, występując na pierwszorzędnych scenach, przyczem nigdy nie zapominały o propagandzie tańca polskiego.

Rozgłos, jaki zdobyły we Włoszech, dotarł do impresarjów zagranicznych. Posypały się oferty z całego świata. Było w czem wybierać. Nasze artystki po namyśle zdecydowały się na... Egipt. Trudno przecież oprzeć się pokusie zobaczenia kraju, tak bardzo atrakcyjnego, bo i pustynia i piramidy i wykopaliska...

Przyjechały, ujrzały (a właściwie — ujrzano je) i... zwyciężyły. Podobały się tak dalece, że nie chciano je wcale stamtąd wypuścić. Występowały przez 7 miesięcy w Aleksandrji i w Kairze. Tam dopiero spotkał je triumf największy. Oddajmy jednak głos im samym:

„Po jednym z występów w Kairze zjawił się u nas szambelan króla Faruka i zaprosił nas w imieniu króla, byśmy wzięły udział w galowem przedstawieniu, urządzanem w pałacu królewskim podczas balu na cześć obradującego właśnie w Kairze kongresu międzynarodowego.

Trzeba było odbyć kilka prób w pałacu przed przedstawieniem. Zostałyśmy przedstawione Jego Królewskiej Mości, który asystował przy naszych próbach. Król Faruk jest młody, miły, bardzo przystojny i wielce demokratyczny, bardzo dostępny. Był zachwycony tańcami polskiemi. Poza niemi najbardziej podobał mu się nasz „marsz wojskowy". Cieszył się, bawił, niczem mały chłopiec, oglądając nasze szpady, któremi posługujemy się przy tym tańcu.

Po przedstawieniu byłyśmy przedmiotem wielkich owacyj. Powinszowania składali nam osobiście: król, królowa, cały dwór i liczni zaproszeni goście.

Na pamiątkę zostały nam ozdobne programy, drukowane po francusku i po arabsku, a co najważniejsze — nadano nam godność „tancerek królewskich". Jest to godność, znana w Egipcie jeszcze z czasów faraonów, ale nadawana jedynie w wypadkach wyjątkowych. Jest dożywotnia — to też przy naszych następnych występach reklamowano nas już na afiszach wielkiemi literami: „tancerki królewskie".

Potem znów uzyskałyśmy moc propozycyj i znów wybrałyśmy w celach turystyczno-krajoznawczych najbardziej egzotyczną, mianowicie do Asmary, stolicy Erytrei, afrykańskiej kolonji włoskiej. O ile w tamtą stronę, by zdążyć na czas, pojechałyśmy małym stateczkiem pocztowym, o tyle wracałyśmy na wspaniałym pałacu morskim „Conte Rosso", zaproszone tam przez gubernatora Erytrei, który wraz z rodziną właśnie jechał na urlop do kraju. Zarówno on, jak jego żona i dzieci oraz cała jego świta, traktowali nas z ujmującą gościnnością i serdecznością, zarówno podczas naszego pobytu w Asmarze, jak i podczas wspólnej podróży powrotnej".

Obecnie czeka nasze tancerki nowa serja triumfów we Włoszech. Wera Petrakiewiczówna zaś, zachęcona sukcesem, sprowadziła z Warszawy jeszcze pięć najmłodszych i najzdolniejszych tancerek z Teatru Wielkiego w Warszawie, t. j. siostry Komorowskie, M. Kułakowską, H. Sosnowską i Kr. Bogucką. Miejmy nadzieję, że już wkrótce będziemy mogli napisać o sukcesach tej piątki.

H.



Powyżej: ...w tańcu charakterystycznym.



Na prawo: ...w tańcu holenderskim.
Zdjęcia: Alban — Aleksandrja.

# PRZEPISY

***odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.***

**PRZYSTAWKA Z PIECZAREK.** 10 dkg oczyszczonych i wymytych pieczarek kraje się drobno, wkłada do ryneczki wraz z łyżką masła i dusi przez 30 minut. Z łyżki masła i tyleż mąki sporządza się jasną zasmażkę, zalewa ją troszką mleka i zagotowuje na gęsty beszamel, z którym się miesza uduszone grzybki. Ogniotrwałą salaterkę smaruje się masłem, nakłada warstwę masy pieczarkowej, wybija na nią tyle świeżych jaj, ile jest osób, posypuje solą, pieprzem i tartym parmezanem, skrapia masłem lub kwaśną śmietaną, posypuje tartą bułką i zapieka przez 10 minut w gorącym piecyku. W miejsce ogniotrwałej salaterki możnaby do zapiekania użyć muszelek lub też modnych obecnie szklanych miseczek ogniotrwałych.

**SOS MAJONEZOWY GOTOWANY.** Dla osób nie znoszących oliwy odpowiedni będzie do mięs, ryb i pasztetów, sos, sporządzony wedle następującej recepty: 4 żółtka, rozkłucone z 1/4 litrem rosołu ubija się na parze aż do zgęstnienia, nie dopuszczając jednak do zagotowania. Po odstawieniu z ognia dodaje się dwie sardelki roztarte z łyżeczką masła i ubija się sos dalej, aż zupełnie ostygnie. Wkońcu zaprawia się go solą, cukrem, sokiem cytrynowym lub octem, łyżeczką musztardy i siekanych kaparów.

**DUŃSKIE KANAPKI.** Kwadratowe, grube na palec krajanki chleba, nacina się z boku w ten sposób, aby się utworzyły torebki, do których wkłada się płatek tłustej szynki oraz kawałek sera Chester lub innego ostrego sera. Chlebki ściska się między dłońmi, następnie smaruje z obu stron masłem i osmaża szybko nad płomieniem. Zrumienione kanapki podaje się do herbaty gorące, w ogrzanej serwecie, aby nie stygły.

**KOTLECIKI BARANIE A LA YORK.** Małe kotleciki baranie ubite i uformowane, soli się, oprusza mąką i smaży z obu stron na gorącem maśle, składa do ryneczki, przykrywa i wstawia na 30 minut do gorącego piecyka, aby „doszły". W międzyczasie sporządza się z dwóch jaj, łyżki octu, pół szklanki mleka, odrobiny soli oraz odpowiedniej ilości mąki, lane ciasto, trochę gęściejsze niż na naleśniki. Ciasto należy długo ubijać, aby potem narastało, wzgl. można też z białek jaj ubić pianę, którą miesza się ostrożnie z ubitem ciastem. W cieście tem macza się przestudzone kotleciki, osmaża je na rumiano w mieszanym tłuszczu i podaje szybko z ostrą sałatką jarzynową lub ostrym sosem.

**GLAZURA POMADKOWA DO TORTÓW.** Dla wygody Czytelniczek podajemy już teraz przepis na glazurę, która obecnie sporządzona i należycie przechowana, przyda się w czasie przedświątecznym. Wyjęta ze spiżarki będzie jak znaleziona w chwili, gdy przyjdzie czas na ozdabianie upieczonych tortów. Przepis brzmi: 1 kg cukru porąbanego w małe kawałki, polewa się 1/4 litrem wody, w której się ma rozpuścić, poczem stawia się maczynie z cukrem na ogniu. W trakcie gotowania zdejmuje się zbierające się na powierzchni cukru nieczystości i piany, uważając poza tem, aby cukier na brzegach maczynia nie zastygał, należy go więc łyżką odskrobywać i mieszać z resztą cukru, inaczej glazura nie byłaby gładka. Po półgodzinnem gotowaniu robi się pierwszą próbę gęstości cukru w ten sposób: Kawałek cienkiego drutu zwija się w małą pentelkę i zanurza ją w cukrze. O ile w pentelce utworzy się cienka błonka, która zdmuchnięta uleci w formie bańki, cukier jest dostatecznie gęsty. Wtedy wylewa się go do miski i uciera wałkiem do zupełnej białości, przyczem uważać należy, aby cały cukier ciągle był w ruchu. Złożoną do garnuszka i dobrze przykrytą glazurę przechowywać można tygodniami. Chcąc jej użyć, zdejmuje się odpowiedni kawałek, rozpuszcza go w cieple, zabarwia czekoladą lub barwnikiem spożywczym, albo też używa do polania tortu na biało. Polewając, nie należy polewy dotykać nożem. Po oblaniu glazurą wstawia się tort na chwilkę do gorącego piecyka dla uzyskania połysku.

**SAŁATKA SURÓWKA.** 25 dkg kapusty włoskiej kraje się cienko, tak samo 25 dkg jabłek i 1 kwaśny ogórek. Poza tem dodaje się łyżeczkę siekanej cebulki, szczyptę cukru i soli, łyżkę soku cytrynowego i oliwy. Wszystko miesza się dokładnie i odstawia na dwie godziny, poczem sałatkę można podać jako danie dla siebie lub jako dodatek do mięsa.

**MARMOLADA Z DYNI I SUSZONYCH MORELI.** Do ciast świątecznych przydatną będzie tania marmolada, przypominająca w smaku do złudzenia drogą marmoladę morelową. Tak nas zapewniano, a ponieważ nie jest kosztowna, można zrobić próbę. Oto przepis: 1 kg dyni oczyszcza się z włókien, pestek i łupki, kropi sokiem cytrynowym i gotuje w wodzie. Ugotowaną odcedza się. 10 dkg suszonych moreli, które mokły przez noc w wodzie, miele się wraz z dynią w młynku od mięsa, dodaje 70 dkg cukru i sok z całej cytryny, poczem smaży się całą masę, mieszając przez 20 minut. Gorącą marmoladę zlewa się do szerokiego słoja lub kamiennego garnka.

**Sc. Ko.**

# NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Oddzielanie białka od żółtka jest przy wybijaniu jaj dosyć kłopotliwe, wymagając dużej wprawy, aby oba składniki nie pomieszały się, uniemożliwiając temsamem właściwe ich wykorzystanie. Przyrząd, który widzimy na naszem zdjęciu, wykonuje czynność tę nienagannie i szybko. Wybija się jaja wprost do niego, przyczem żółtko zatrzymuje się w środkowem wklęśnięciu a białko spływa podłużnymi otworami do podstawionej szklanki czy filiżanki.

# 7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

***Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.***

Tydzień 51

## Grudzień

31 dni



| | |
|---|---|
| NIEDZIELA 11 Damazego | Zupa z drobiu. Przystawka z pieczarek. Dzika kaczka z jabłkami. Biszkopt z kremem kawowym. Kolacja: Pasztet z sałatką jarzynową. |
| PONIEDZ. 12 Aleksandra | Barszcz na rosole z fasolką. Naleśniki z mięsem. Mostek barani z marchewką. Legomina z makaronu wypiekana. Kolacja: Budyń jarzynowy. |
| WTOREK 13 Łucji, Otylii | Zupa wątrobiana. Kardy w sosie z ryżem. Polędwica wieprzowa z kapustą. Szarlotka z jabłek. Kolacja: Ryba morska w sosie sardelowym. |
| ŚRODA 14 Nikazego † S.dn. | Zupa cytrynowa z ryżem. Salsefia z rumianem masłem i bułeczką. Kaczka w potrawce z kluseczkami. Kompot z jabłek i śliwek. Kolacja: Miseczki kiełbasiane z szpinakiem. |
| CZWARTEK 15 Fortunata | Zupa grochowa z grzankami. Faszerowana kapusta włoska. Klops z mięs mieszanych z sałatą surówką. Ptysie. Kolacja: Ragout z przodków zajęczych. |
| PIĄTEK 16 Adelajdy † S. dn. | Grzybówka na perłówce z śmietaną. Kotlety ziemniaczane z sosem pomidorowym. Łosoś morski gotowany z masłem. Bliny. Kolacja: Rizotto z groszkiem. |
| SOBOTA 17 Łazarza † S. dn | Zupa jabłeczna z grzankami. Kaszka krakowska z grzybkami. Pieczeń sarnia z borówkami. Omlet z konfiturą. Kolacja: Budyń z ryby. |



# HOCKI-KLOCKI

### NIEPOROZUMIENIE.



Sędzia śledczy: — Bardzo pani dziękuję za gościnność, ale właściwie to chcieliśmy się dowiedzieć, dlaczego pani zastrzeliła swego męża? „Esquire".

## *Rozwiązania z Nru 49-go.*

**KOPANIE ROWU.**

A i B wykopią dół w 2 dni.

**POLOWANIE NA NIEDŹWIEDZIA.**

Niedźwiedź był białego koloru. Jak wskazuje sytuacja, w której myśliwy go zabił (niedźwiedź po przesunięciu na wschód ciągle był w odległości 200 m od niego), polujący musiał znajdować się na Biegunie Północnym, a zatem niedźwiedź mógł być tylko biały.

## ROZRYWKI UMYSŁOWE

### POWRÓT TATY.

Kochające (?) dzieci miały iść po powracającego z podróży ojca na stację kolejową. Tymczasem jednak Henryk oświadczył, że jego auto jest zepsute, Marysia bała się iść, bo było już po 10 wieczór, Władek umówił się przedtem z narzeczoną, a Zosię właśnie rozbolała głowa.

Wylosowano więc i tak się złożyło, że najstarsze dziecko musiało się „poświęcić". Kto poszedł na stację, jeśli ojciec przed dwoma laty był dwa razy starszy od Marysi i liczył tyle samo lat, co obaj synowie, obecnie zaś miał tyle lat, co obie córki razem. Między Zosią zaś, a Henrykiem są trzy lata różnicy!

### SKOMPLIKOWANY WYŚCIG.

Janek i Wacek są wielkimi zwolennikami wycieczek pieszych i rowerowych. Jednak każdy z nich twierdził, że chodzi lepiej od swego towarzysza. Aby nareszcie przekonać się, który ma rację, postanowili przejść po 6 km każdy. Wacek przeszedł od dwunastego słupa kilometrowego do szóstego, a Janek dogonił go na rowerze. Wtedy Wacek przesiadł się na rower, a Janek przemaszerował od szóstego słupa kilometrowego do pierwszego. Po porównaniu czasów obaj udali się do miasta, aby oblać „zawody".

„Kto wygrał?" — spytałem.

„Janek z łatwością wygrał, mimo, że jego odcinek drogi był znacznie trudniejszy. Czy przypuszczasz, że po przejechaniu paru km na rowerze chodzi się szybciej? Czy to możliwe?" — spytał mój towarzysz.

A może Czytelnicy znajdą inne wytłumaczenie wygranej Janka?

### ZIELONE SUKIENKI.

Każda z pięciu córek mego sąsiada wkłada codziennie kolejno inną sukienkę. Żadna z dwóch nie posiada w swej szafie tej samej ilości różnych kolorów i każda z nich ma mniej niż 12 sukienek. Otóż zauważyłem, że:

1) Pierwszego czerwca Basia miała niebieską sukienkę, Barbara i Buba — czerwone, Bibi zieloną, a Bella żółtą.

2) Jedenastego czerwca dwie dziewczynki włożyły czerwone, jedna zieloną, jedna niebieską i jedna białą.

3) Dziewiętnastego czerwca Bibi miała zieloną, a Bella żółtą, pozostałe trzy dziewczynki włożyły czerwone.

4) Bibi miała żółtą dnia 22 czerwca, a białą 23.

5) 1 lipca wszystkie pięć dziewczynek były dokładnie tak samo ubrane, jak 1 czerwca.

Która z dziewcząt miała zieloną sukienkę 11 czerwca?

5) 1, 2, 3.

Ile różnych liczb trzycyfrowych można ułożyć z cyfr 1, 2 i 3?

### STOP METALI.

Pewna ilość stopu składa się z 100 kg ołowiu, 40 kg antymonu, 24 kg cyny i pewnej ilości miedzi. Jeżeli waga miedzi wynosi 6 procent wagi tego stopu, to ile on zawiera kg?

### BRACIA I SIOSTRY.

Miłośnika rozrywek umysłowych zapytano ile ma sióstr, a ile braci. Zapytany odparł: Mam tyle sióstr, ilu braci, lecz każda z moich sióstr ma dwa razy mniej sióstr, niż braci. Ile nasz miłośnik rozrywek miał braci, a ile sióstr?

### TEMPO AMERYKAŃSKIE.



— Musiałam przyjść do biura w sukni ślubnej, bo po skończeniu urzędowania wychodzę zamąż... „Esquire".

### HIGH-LIFE.



Młoda żona do męża: — Mam dla ciebie miłą niespodziankę, Alfredzie i wkrótce będziemy się musieli rozejrzeć za większem mieszkaniem! „Esquire".

### JEDENASTY DZIEŃ.

Jeżeli jedenasty dzień miesiąca wypada we wtorek, to który dzień tygodnia wypada na 30-ty?

### PROBLEM BRYDŻOWY.

A. gra z B., X. z Y.

Atutem są trefle.

A rozpoczyna grę i wraz z B. uzyskuje 7 lew. mimo jaknajlepszej obrony ze strony X—Y

Rozkład kart: A: piki: król, 4; kiery: as, walet, 7, 5; kara: as, 10.

X: piki: 7, 5, 3; kiery: 4, 3, 2; kara: walet; trefle: dama.

B.: piki: walet, 8, 6; kara: 8, 7, 6, 2; trefle: król.

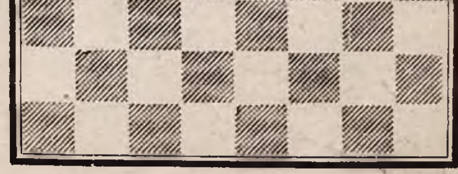
Y.: piki: 9; kiery: król, 10, 9; kara: dama, 5, 3; trefle: 7.

### ZADANIE SZACHOWE.

**Chr. Weihe — Kopenhaga.**

Mat w 3 posunięciach.

Białe: król h6, wieża c8, piony b5, c7.



Czarne: król h2, gońce a7. g8, piony b6, h7 (4+5=9).

# O tak! – to warto

## zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



## NA SCENIE

**KRAKÓW.** W oprawie dekoracyjnej dyr. Frycza i w reżyserji Stanisławy Wysockiej, teatr krakowski wystawił **„Klątwę"** Wyspiańskiego. Przedstawienie wypadło bardzo pięknie i nastrojowo. Prócz Wysockiej w roli Matki, na czoło wykonawców wysunęła się Jabłonowska jako Młoda. Rolę Księdza zagrał z dużą starannością p. Stefan Czajkowski.

**WARSZAWA.** Po dłuższej przerwie ujrzeliśmy znowu Marję Modzelewską w sztuce młodego francuskiego autora, M. Durana pt. **„W roli głównej Barbara Bow"**, wystawionej w Teatrze Letnim. Partnerem jej był Kazimierz Junosza-Stępowski. Jeden z feljetonistów, zestawiając przedstawienie paryskie z warszawskiem i grę wykonawczyń roli głównej (w Paryżu nieznana przedtem aktorka z Budapesztu: Zita Perzel), uwypukla znacznie wyższej klasy talent Modzelewskiej.

**J.**

## NOWE KSIĄŻKI

**„Więcierz w głębinie" Kazimiera Alberti. (F. Hoesick)** Szósty tomik wierszy Kazimiery Alberti, która debjutowała w r. 1926 „Buntem lawin" — zawiera u t w o r y bardzo różnorodne w tonie: od pewnego siebie, sobiepańskiego „Autoportretu" poprzez „Czerwoną wiosnę", o akcentach pacyfistycznych i humanitarnych, aż do modlitewnego cyklu „Więcierz w głębinie", złożonego z 12 utworów „na każdy miesiąc w roku". Zamyka tom „Poemat o Lwowie", za który autorka otrzymała drugą nagrodę na konkursie „Wiosna we Lwowie" w roku 1937.

W tomie „Więcierz w głębinie" dominantę stanowią obrazy i motywy emocjonalne. Tak samo w doborze figur i tropów, w stosunku autorki do tworzywa artystycznego przejawia się nie opanowana refleksja, ani wymyślna konstrukcja, lecz kwiecisty, rozlewny liryzm, skłonność do upajania się barwą słowa.

*Nie poznajecie mojej opalonej twarzy?*
*wy wszyscy co stoicie bezradnie za bramą,*
*wy ludzie zasiedziali, trwożni, którym się nigdy w życiu nic nie zdarzy,*
*zmieniłem się!! Lecz serce zostało to samo!*

— czytamy w „Autoportrecie", tchnącym staffowską pogodą.

W tytułowym cyklu, nastrojonym na nutę religijną punktem wyjścia zdają się tu również nie tyle przeżycia metafizyczne przy spowiedzi duszy, ile smakowanie w pewnego rodzaju obrazach, chęć popisania się dźwięcznemi inwokacjami; np.:

*O Panie! wzbudź w nas miłość:*
*niech w lipcu poczęta*
*ukocha jednakowo pasiekę i cmentarz.*
*Niechaj Twa ręka Panie — serca nam wymości*
*miodem zgody i lipą miłości.*

**J. J.**

**E. Rocci. „Panorama dell'arte radiofonica".** We Włoszech ukazała się ostatnio na półkach księgarskich ciekawa książka E. Rocciego pt. „Panorama dell'arte radiofonica" („Przegląd sztuki radjowej"). Rocci omawia w swej książce nie teoretyczne zasady sztuki radjowej (choć i tego nie brak), ale dzieła tej sztuki i ich cechy. Omawia więc twórczość radjową w różnych krajach: Ameryce, Anglji, Niemczech, Francji, Włoszech, w Polsce itd. Pewnym brakiem jest tutaj nie omówienie wszystkich, a przynajmniej najważniejszych krajów całego świata. Brak przedewszystkiem Japonji i Chin, a dalej Azji i Południowej Ameryki.

Polsce poświęcił Rocci niewiele miejsca: mówi o sygnałach radjowych i nie zapomina wtedy o polskim sygnale, opartym na melodji poloneza Chopina. Melodja ta — pisze Rocci — sugestywnie narzuca radjosłuchaczowi Warszawę, miejsce urodzenia Chopina. Tutaj mamy tylko wzmiankę, więcej za to mówi o Polskiem Radjo Rocci, kiedy omawia to, co sam nazywa „radjowym teatrem dramatycznym".

Oto, co pisze Rocci:

„...Polska późno dała się słyszeć na falach eteru i odrazu postanowiła współzawodniczyć z pierwszemi radiofonjami w dziedzinie teatru radjowego. Przeszedłszy w krótkim czasie fazę tematów sensacyjnych, Polskie Radjo zwraca się ku tematom biograficznym, udramatyzowanym, opierając je często na życiu Chopina, o którym dobrze pamięta ojczysta jego Warszawa... Kilka razy, jak np. w „Lecie w Nohant" Jarosława Iwaszkiewicza, wielki muzyk prezentuje się słuchaczowi tylko przez swe sonety i przez wzruszenie, jakie wywołuje w tych, którzy słuchają jego muzyki.

Inne sztuki radjowe polskie przepojone są duchem klasycznie słowiańskim. Jeszcze inne, i te są najlepsze, współzawodniczą z teatrem francuskim, jeśli idzie o subtelność nastrojów.

Najlepiej dobrana para kochanków w „Dwóch oknach na piątem piętrze" Ireny Dehnel, będzie musiała rozstać się, ponieważ oboje, kochając się, a nie widząc, wierzyli, że własnym wdziękiem będą mogli wzajemnie pocieszać się w smutku, spowodowanym przez ich rzekomą brzydotę fizyczną. Ujawnienie kłamstwa o brzydocie niszczy ich uczucia.

Rozwój „problemowy" sztuk radjowych w Polsce łączy się z ich coraz to redukowaną długością czasu trwania, który przeciętnie osiąga 45 minut. Często, jako przejścia z jednej sceny do drugiej, stosuje się fragmenty muzyczne..."

Tyle Rocci. My ze swej strony możemy dodać, że rozwój gatunków audycyj radjowych i radjowego teatru dramatycznego w Polsce bynajmniej się nie skończył. W dziedzinie tej — podobnie jak w wielu innych zresztą — dopiero czasy ostatnie zaznaczać się zaczynają jako czasy prawdziwego rozwoju. To też pozwala spodziewać się, że dorobek, jaki w tej dziedzinie wnosimy do twórczości światowej, będzie — może już nie długo — znacznie większy, niż dotąd.

Szkoda, że włoski autor operował tylko znikomym materjałem z polskiej literatury słuchowiskowej. Polscy słuchacze pamiętają niewątpliwie więcej słuchowisk, które stały na najwyższym poziomie artystycznym.

## NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

**Niedziela, 11 grudnia.**

12.03 Poranek symfoniczny ze Lwowa.
13.15 Muzyka obiadowa z Wilna.
16.30 Recital fortepianowy Alex de Graef.
17.20 „Podwieczorek przy mikrofonie" — z Łodzi.
21.20 Muzyka taneczna.
21.45 „Jako żak babie do nieba posłował" — farsa.

**Poniedziałek, 12 grudnia.**

11.15 Walce Straussa w różnych interpretacjach.
15.30 Muzyka obiadowa.
16.35 Najpiękniejsze kwartety klasyków wiedeńskich.
19.00 Rozmaitości muzyczne — koncert rozrywkowy.
21.00 Przemówienie ministra przemysłu i handlu A. Romana.
21.10 Koncert z okazji jubileuszu kompozytorskiego Z. Moczyńskiego.
22.00 „Dzieje symfonji" — audycja słowno-muzyczna.

**Wtorek, 13 grudnia.**

11.15 „Nasi ulubieńcy śpiewają", płyty.
15.30 Muzyka obiadowa.
16.30 Pieśni Corbelliusa — koncert wokalny.
19.00 Koncert rozrywkowy.
21.00 Koncert symfoniczny.
22.15 Koncert solistów.

**Środa, 14 grudnia.**

11.20 Serenady na instrumentach solowych — płyty.
15.30 Muzyka obiadowa.
17.15 „Damy w krynolinie śpiewają" — audycja muzyczna.
19.00 Muzyka węgierska — koncert.
21.00 Koncert chopinowski.
21.30 „O tak zwanem spryciarstwie w literaturze" — djalog Goetla i Gałczyńskiego.
22.00 „Folklor różnych krajów" — koncert.

**Czwartek, 15 grudnia.**

15.15 „Kłopoty i rady": „Bridge czy posiedzenie".
15.30 Muzyka obiadowa.
16.40 Recital fortepianowy H. Wereszeńskiej (Danja).
19.00 Koncert rozrywkowy.
21.00 „Książę Niezłomny" — słuchowisko.
22.00 Muzyka kameralna.
23.05 Koncert muzyki polskiej.

**Piątek, 16 grudnia.**

11.25 „Pieśni i piosenki" w wyk. Crooksa (płyty).
15.30 Muzyka obiadowa.
16.30 Pieśni w wyk. Larissy Martinson.
18.30 „Sen nocy radjowej" — słuchowisko.
20.00 Koncert z Filharmonji Warszawskiej; Chór Lipskiego Gewandhausu pod dyr. Abendrotha; „Requiem" Verdiego.

**Sobota, 17 grudnia.**

15.30 Muzyka obiadowa.
16.35 Recital wiolonczelowy Gabora Rejto.
17.20 „Z pieśnią i tańcem" przez C. O. P.".
21.00 „Damy i huzary" — opera komiczna Kamieńskiego. — Transmisja z Poznania.

**Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca**

**Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.**

Zakłady Graficzne „I. K. C.", Kraków, Wielopole 1, pod zarządem Franciszka Czajki. — Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1